

Opinie

Pijane
jak wilki

Jak nakręcić
kryminał

Cierpienia
młodego biznesmena



Obrazki
z Zaolzia

MOŻE WYKIPIEĆ...

25 czerwca Rada Ministrów spotkała się po raz pierwszy w historii rządu **Tadeusza Mazowieckiego** na tajnym posiedzeniu. Tajne posiedzenie, w tym przypadku należy rozumieć — jak mimochodem zauważyła „Rzeczpospolita” — jako spotkanie bez udziału doradców i wiceministrów, w specjalnie zabezpieczonym pomieszczeniu. Spotkanie trwało 45 minut. Możemy tylko podejrzewać co było przedmiotem obrad: konflikt z Wałęsą, protesty rolników, niepokoje na Górnym Śląsku.

Nie są to jedyne przesłanki powodujące niepokój. Od 1 lipca weszły nowe podwyżki cen, rolnicy zaczęli już okupować ministerstwo rolnictwa, zaś wiadomości z Katowic i Zagłębia są nad wyraz niepokojące. Według posiadanych informacji policja w Katowicach wprowadziła stan pogotowia. W okolicach Chorzowa, Bytomia i Katowic zauważono duże kolumny wozów policyjnych. Dyżurny oficer policji w Katowicach potwierdził informacje o szczególnej ruchliwości sił porządkowych, ale wyjaśnił ją faktem przygotowań do 1 lipcowych uroczystości wręczenia honorowego sztandaru policji w Piekarach Śląskich.

Nie chciałbym być podejrzany o wprowadzanie atmosfery niepewności i emocji. Głęboko wierzę, że rząd Mazowieckiego — mimo wszystko — nie zdecyduje się na siłowe rozwiązywanie konfliktów społecznych.

Konfederacja Polski Niepodległej nie będzie inicjowała żadnych akcji protestacyjnych, ale poprzemy wszystkie uzasadnione żądania. Wszystkie akcje siłowe przeciwko protestującym spotkają się z naszym natychmiastowym potępieniem.

Będą Państwo czytali ten numer „Opinii” w drugim tygodniu lipca. Jeśli okaże się, że ton niniejszego komentarza był zasadny — wniosek może być tylko jeden. Rząd przygotowywał się do wszystkich działań w sposób planowy i przemyślany. I winien zostać ze swych poczynąń rozliczony. Jeśli natomiast niepokoje społeczne nie wystąpią, co będzie dowodem ogromnej odporności i odpowiedzialności obywateli — niech tekst ten posłuży za poważne ostrzeżenie. Coraz trudniej jest bowiem utrzymać pokrywkę nad polskim, kipiącym już garnkiem.

KRZYSZTOF KRÓL



Nie często zdarza się, aby na konferencję prasową zapraszała dziennikarzy inna redakcja. Jeszcze bardziej oryginalny to przypadek gdy przedmiotem informacji na takiej konferencji są tajne dokumenty, odkrywające przewrotną, sprzeczną z Konstytucją działalność niektórych organów aparatu państwowego.

Część z tych dokumentów opublikowaliśmy w numerze 17 „Opinii”. Przybyli na konferencję dziennikarze otrzymali komplet odbitek kserograficznych całego szeregu innych, nie mniej interesujących dokumentów.

Włączone materiały mają kilka cech wspólnych. Pierwsza to piękny wydruk listowni-

wania rządu. Są dane związane z osobą Zdzisława Najdera, zbierane w okresie jego zbliżenia się do Wałęsy. Dokumenty zawierają też notatki dotyczące sytuacji politycznej i finansowej niektórych struktur opozycyjnych. Ale nie tylko ich. Inwigilowane były (a więc i są!) także środowiska solidarnościowe, ze szczególnym uwzględnieniem tzw. „lewicy korwiskiej”. Tę szpiegowsko-żonosielską robotkę uzupełniają prognozy polityczne dotyczące dalszych zachowań znanych działaczy oraz rozwoju sytuacji społeczno-politycznej.

Takie właśnie dokumenty otrzymali przedstawiciele warszawskiej prasy z rąk redaktora naczelnego „Opinii”. Prze-

do rozstrzygnięcia przez Trybunał Stanu.

— A może to właśnie pan ma tak daleko idące kontakty w MSW i sam zdobył te dokumenty? — pytali niektórzy dociekliwi i niezbyt przyjaźni dziennikarze.

— Rzeczywiście miałem i to dość liczne kontakty z MSW i z jego pracownikami — odpowiedział szef „Opinii”. Siegają one czasów, gdy byłem więziony za nielegalną działalność polityczną. Wówczas to poznałem także m.in. i gen. Kiszczaka. W kontaktach tych mogłem z pewnością stracić nieco zdrowia i zyskać dość wiadczalnie sporo informacji o pracy pewnych służb wewnętrznych. Nie mogłem jednak zdobyć żadnych dokumentów.

Niefurowość niektórych dziennikarzy budziła autentyczność dokumentów. Mogli więc swoje odbitki porównać z oryginałami, które się znalazły na konferencyjnym stole. — Te dokumenty to czubek lodowej góry — powiedział red. Król. — Z pewnością ujawnimy ich znacznie więcej. Ale byłoby lepiej aby już te notatki, informacje i doniesienia, które przecież parzą palce i mówią same za siebie spowodowały wyeliminowanie z aparatu władzy starych, wielokrotnie zdekonspirowanych agentów starych struktur. Chcemy aby ujawnienie tych faktów jak najszybciej przyczyniło się do większej jawności życia politycznego — a więc w konsekwencji — do lepszego, godniejszego życia nas wszystkich.

Wiadomość z ostatniej chwili: informacje o naszej konferencji prasowej przedrukowały na pierwszych stronach niemal wszystkie warszawskie gazety. Natomiast redakcja telewizyjnych „Wiadomości” odmówiła tej informacji telewizyjom

MARIANNA ROKITA

Dokumenty, które parzą

ka o treści: „Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Departament I (Wywiad)”. Drugą cechą łączącą te dokumenty są daty — wszystkie pochodzą z sierpnia i września ub. roku — a więc z okresu kiedy mieliśmy już „swój” rząd. Po trzecie łączy je nazwisko adresata, a raczej adresatów, bo tych jest zazwyczaj kilku. Nazwiska gen. Jaruzelskiego, Kiszczaka, Pożogi i Dankowskiego figurują na każdym z nich. Zaś autorem tych głęboko tajnych informacji, notatek i doniesień jest niemal z reguły gen. Z. Sarewicz.

Czego dotyczą tajne dokumenty? Najkrócej mówiąc jest to inwigilacja... rządu, a przynajmniej pewnej jego solidarnościowej części oraz partii i odłamów opozycyjnych. Jest w nich m.in. rozeznanie dotyczące sytuacji w kierownictwie SD w dniu spotkania z Wałęsą i rozmów dotyczących formo-

głędali je pospiesznie i z pewnym niedowierzaniem. A potem posypały się pytania.

Naszych kolegów po piórze najbardziej interesowało źródło informacji.

Z odpowiedzi red. Króla wynikało, że osoba informatora i źródło dokumentów muszą pozostać nadal nieznane. Osoba ta wierzyła, że aby zniszczyć zło, trzeba je ujawnić. Ta zasada powinna być również motorem działań każdego dziennikarza.

— Czy ujawnienie tych faktów nie utrudni pracy premierowi Mazowieckiemu? Czy jego rząd nie będzie musiał podać się do dymisji? A może właśnie tego chce KPN — pytali dziennikarze. KPN chce jednak aby osoby utrudniające pracę rządu nawet jeśli wykorzystują do tego drogę służbową, nie mieli żadnego głosu. Jeśli do tej pory było inaczej — to problem ten kwalifikuje się

Cztery i pół roku temu, na XXVII Zjeździe KPZS, Gorbaczow zauroczył delegatów swą wizją daleko posuniętych przemian. Salę obrad wypełniły burzliwe oklaski 5000 delegatów. Na trwającym obecnie zjeździe wszystko jest już inaczej. Wprowadzający referat Gorbaczow przyjęto bardzo chłodno, jeden z delegatów zaproponował wcześniej, by w ogóle całe władze podały się do dymisji. Demonstrujący na zewnątrz zagorzali antykomuniści na transparentach i plakatach wypisują hasła: „KPZS przed sąd!”, „Precz z KPZS”.

Co prawda i na XXVIII Zjeździe były gorące oklaski, ale dla przywódcy partyjnego betonu — Ligaczowa, który wypowiedział się zdecydowanie przeciwko reformom, tendencjom „antysocjalistycznym” i własności prywatnej.

Nie ulega wątpliwości, że przeciwnicy Gorbaczowa mają obecnie przewagę. Po ich myśli zakończył się wszak kongres nowopowstałej rosyjskiej partii komunistycznej. Zachowawcze skłonności ma także zdecydowana większość delegatów na XXVIII Zjazd — według nich pierestrojka przyniosła tylko kłopoty — katastrofę ekonomiczną, utratę wpływów w Europie Wschodniej. Zagrożona jest także kierownicza rola kompartii w państwie.

Chwilami wydaje się, że nie jest to partyjny zjazd, lecz sąd ludowy, przed którym stanął Gorbaczow i jego zwolennicy. Jednak oskarżenia nie przyznają się do winy. Gorbaczow oświadczył, że pierestrojka jest jedyną możliwą drogą. Szewarnadze

Oskarżenia nie przyznają się do winy

bronili polityki zagranicznej, która umożliwiła ograniczenie wydatków zbrojeniowych i która już zasadniczo zmieniła stosunki sowiecko-amerykańskie. Jakowlew nawoływał do jedności.

Przed rozpoczęciem zjazdu przypuszczano, że będzie miał on znaczenie przełomowe. Przepowiadano podział partii, osłabienie (może w ogóle porażkę) Gorbaczowa. Dziś bardziej prawdopodobne wydaje się, że zjazd skończy się... niczym.

Choć większość delegatów jest pracownikami aparatu, a więc ludźmi zainteresowanymi w zachowaniu status quo dającego im władzę, to jednak nie znaczy, że są oni świadomymi, zdeklarowanymi konserwatystami. Wielu prowincjonalnych działaczy

waha się (jest to coś w rodzaju „bagna” z parlamentu z okresu francuskiej rewolucji) i zapewne pójdzie nawet nie za silniejszą, lecz za bardziej dynamiczną stroną konfliktu. Tą stroną może okazać się Gorbaczow, który nie ma ochoty rezygnować bez walki.

Nie wydaje się prawdopodobne, by „bagno” odważyło się na otwarte przeciwstawienie się sekretarzowi.

Jednocześnie prezydent Gorbaczow zmierza do osłabienia pozycji KPZS na rzecz władz państwowych — Szewarnadze i Jakowlew zrezygnowali z kandydowania na członków Biura Politycznego. Sens ograniczenia wpływów nieprzychylnych obecnie Gorbaczowowi KPZS jest oczywisty — nawet w wypadku porażki, Gorbaczow będzie mógł wycofać się na pozycję „ponadpartyjnego prezydenta ZSRS”, opierającego swą władzę oficjalnie na systemie wielopartyjnym, a naprawdę na wciąż sprzymierzonej z nim KGB.

Zwolennicy i przeciwnicy pierestrojkowych reform są na tyle silni,

Bez komentarza

INFORMACJA
dz. 14
NREPI 100001389
Przyjmuję
Tow. Jaruzelski
Tow. Kiszczak
Tow. Pożoga

INFORMACJA

Dotyczy: wizyty Michała Gorbaczowa w Watykanie

Według uzyskanych informacji Kuria Rzymska rozrozdziła aktywne przygotowania do wizyty M. Gorbaczowa w Watykanie.

W watykańskim Sekretariacie Stanu ocenia się, że wizyta powinna przynieść niezwykle ważne efekty. Zakłada się, że m.in. pozwoli na:

- znaczący postęp w przygotowaniu wizyty papieża w ZSRR; spodziewane jest złożenie oficjalnego zaproszenia przez M. Gorbaczowa na 1990 r.;
- wypracowanie decyzji w sprawie uregulowania kwestii Kościoła unickiego na Ukrainie oraz kontaktów Stolicy Apostolskiej z Kościołami lokalnymi Litwy, Łotwy i Białorusi;
- omówienie inicjatyw pokojowych ZSRR; jednym z istotnych elementów będzie sytuacja na Bliskim Wschodzie - papież ma zamiar nalegać, aby ZSRR wywarł presję na Syrię w celu wycofania jej wojsk z Libanu;
- przedyskutowanie perspektyw nawiązania stosunków dyplomatycznych Stolicy Apostolskiej - ZSRR;
- omówienie perspektyw dialogu Watykanu z Cerkwią prawosławną oraz sytuacji wewnętrznej w Polsce.

Według ocen zachodnich ekspertów zajmujących się problematyką watykańską, na klimat rozmów M. Gorbaczowa z papieżem rzutować będą m.in.:

- oceny Kurii Rzymskiej, według których pozycja polityczna M. Gorbaczowa pogarsza się, utrzymuje się opozycja w aparacie partyjnym i państwowym (jako przejaw jej intensyfikacji uważa się opublikowanie oświadczenia KC KPZR w sprawie sytuacji w republikach nadbałtyckich), pogarszająca się sytuacja ekonomiczna w ZSRR oraz pojawiające się ciągle nacjonalizmy (Ukraina, Mołdawia);

Przebieg wewnętrzna prasa na przywódcę radzieckiego w kierunku ostrzeżenia obecnego kursu polityki zagranicznej wobec Polski Węgier z uwagi na groźbę utraty spójności kładu Warszawskiego zarysowujący się kryzys dotychczasowych struktur władzy w ZSRR

W tej sytuacji kierownictwo Sekretariatu Stanu i papież, przyjmując zasadę dużej ostrożności, oczekują koncyliacyjnej postawy M. Gorbaczowa, nie czyniąc za swej strony żadnych ustępstw wobec ZSRR w podstawowych kwestiach spornych.

RD/AK/D

więc najpewniej zjazd skończy się klasycznym patem. Ten pat trwać będzie i później, aż do czasu, gdy rozstrzygnięcie przyniosą... pieniądze. Powodzenie reform i los Gorbaczowa zależą w dużej mierze od dewizowych kredytów — pozostaje tylko pytaniem, ile wart jest Gorbaczow dla Zachodu. Już wiadomo, że dla RFN bardzo dużo, ale dla innych?

Zapewne dla wielu polityków Zachodu Gorbaczow jawi się jako jedyny gwarant przemian w ZSRR — dlatego można przypuszczać, że zrobią oni sporo, by go uratować.

Dobrze by jednak było, by wcześniej zastanowiono się, czy po uratowaniu gospodarki Gorbaczow zechce dalej budować demokratyczne i pokojowo nastawione państwo (co jak widać przynosi mu obecnie wiele kłopotów), czy też powróci do agresywnej, imperialistycznej polityki.

Czy dolarowy zastrzyk uczyni z wydieńczonego wilka jagnię, czy też tylko doda mu siły? Od znalezienia odpowiedzi na to pytanie zależy bardzo wiele.

TOMASZ MERTA

Informujemy, że przedstawicielem redakcji i wydawnictwa tygodnika KPN „OPINIA” w Stanach Zjednoczonych został p. MAREK RUSZCZYŃSKI.
34 Hillside Ave. Apt 2AA, New York, NY 10040, USA
tel. (212)-567-60-99 fax (212)304-95-31

Ja, KIRŻEWSKI MIKOŁAJ, syn Nau-
ma, urodziłem się w 1924 roku we wsi
Sienna, w gminie Lubcza, województwo
Nowogródek.

Jako obywatel Polski do 1939 roku pro-
szę Rząd Rzeczypospolitej o spowodowanie
mojej pełnej rehabilitacji przez Rząd So-
wiecki. Nie uczyniłem niczego złego. Jako
20-letni żołnierz AK biłem się o wolną Pols-
kę przeciw wspólnemu wrogowi — Niem-
com. Potem uprawiałem swoją własną zie-
mię. Zostałem potraktowany jak bandyta —
musiałem wyrzec się rodziny, żony i dwoje
małych dzieci, żeby ich ocalić. Pragnę
po rehabilitacji przyjechać do Polski, dla
której walczyłem i zobaczyć jak żyją moi ro-
dacy w kraju.

W 1944 roku należałem do oddziału AK
złożonego z mieszkańców okolicznych wsi
— wykonując zadania zlecone przez do-
wódcę Tadeusza Komorowskiego. Oddział
nasz działał na terenie gm. Lubcza woj.
Nowogródzkie.

Zadanie zlecone przez dowódcę AK zo-
stało wypełnione z honorem. Tereny Mic-
kiewiczowskie zostały oswojone od
niemieckich okupantów już 3.06.1944, tzn.
miejscowości: Sienna — Kopaszczewo —
Kupisk — Pantusowice — Niarńkowo —
Hnierzce — Szczorsy — Awdziejewice —
Ławruszewo — Słoboda — Lubcza.

Armia Radziecka weszła na te oczysz-
czone przez nas od Niemców tereny dopie-
ro około 25.06.1944 r.

W okolicy tej działała również partyzan-
ka sowiecka — Brygada im. Dzierżyńskiego,
Naczelnik Sztabu Kapitan Kurmanow.
Stosunek partyzantów sowieckich do od-
działów Armii Krajowej był nieszczerzy i
klamliwy. Kiedy nasz oddział AK wiodł nie-
równy bój o wieś Sienna w początkach
czerwca 1944 roku — sowiecka partyzan-
ka, znajdująca się w odległości 4 km w re-
jonie Lubczy, nie pomogła.

10.06.1944 ja, Korzeniewski Mikołaj
przekazałem oddziałowi partyzanckiemu
im. Dzierżyńskiego, Naczelnikowi Sztabu
Kurmanowowi 12 oficerów niemieckich i
38 żołnierzy jako jeńców, gdyż nie mieli-
śmy możliwości ich przetrzymania, a sztab
AK Rahnera znajdował się w tym czasie
pod Lidą, około 70 km i było za daleko, aby
tam przekazać jeńców.

W pobliżu wsi Szczorsy nasz Oddział
wziął do niewoli 42 niemieckich żołnierzy,
zabitych było 19 żołnierzy. Na chutorze Ko-
ziów-Borek — puszcza Nalibocka — nasz
oddział stoczył bój, zginęło 37 niemieckich żoł-
nierzy. Na chutorze Duby, gm. Lubcza, wzię-
liśmy do niewoli 15 niemieckich żołnierzy.

W domu Szockiej Walentyny, córki Dro-

bieja, chutor Sienna, wraz z Kaptunem Eu-
geniuszem wzięliśmy do niewoli niemiec-
kiego pułkownika i oberlejtanta Schmelz
Fryderyka — i ich też, jak i poprzednich,
przekazaliśmy sowieckiemu oddziałowi
partyzantów im. Dzierżyńskiego.

Był też przypadek, że sowieccy party-
zanci podstępnie wyłudzi od naszego
zwiadu, składającego się z 25 osób, dobrą
angielską broń, dając w zamian rosyjską,
zardzewiałą.

Władza radziecka obejmując te nasze
tereny powiedziała nam, że walcząc w dal-
szym ciągu z Niemcami zachowamy dla
siebie nasze własne gospodarstwa. Nieste-
ty, po wojnie zaczęło zmuszać nas do
wstępowania do Kolchozu. Ja do Kolchozu
nie wstąpiłem. Posiałem w roku 1951 zbo-
że i kiedy przyszedł czas zbiorów, przyszli
z Kolchozu, przewodniczący, wbili paliki na
moim polu i zabronili zbierać zboże. Jed-
nak ja, pod osłoną nocy, z całą rodziną
własne zboże skosiłem, bo był w tym cza-
sie duży głód. Rano przyszły władze sowiec-
kie, zboże zabrali, mnie tak zastraszyli, że
ucieknę do lasu. Teraz byłem ścigany już
jako polityczny wróg Kolchozu i narodu.



Zwracam się do Pana Premiera o pomoc

Ferma na cmentarzu

Ścigały mnie organa NKWD. Za moją gło-
wę wyznaczono nagrodę.

Podstawiono prowokatora Hujdę, zro-
biono obławę na moście — wieś Kupisk,
późną jesienią 1951 roku — ucieknę, pły-
nałem po Niemnie pod ostrzałem 3 km do
wsi Bór. Uważali, że się utopiłem. Zabity i...
odeszli. We wsi Bór przebrali mnie ludzie w
suchą odzież i udali się do chutoru Sienna.
Ukrywałem się, aż w końcu wydano
mnie na chutorze u Kaczana. Okrążyli jak
bandytę, aresztowali i zawieźli do Barano-
wicz. Sowietci proponowali mi współpracę
w wyłapywaniu podobnych do mnie „ban-
dytów”, ale odmówiłem. W 1952 roku są-
dził mnie Wojenny Trybunał Wojsk NKGB
— uznano winnym wg Kodeksu Karnego
CCCP-BSSR:

§ 63, cz. 1 — Kontrrewolucyjne przejście
na stronę wroga.

§ 76 — Organizacyjna działalność w po-
woływaniu Polsko-Białoruskiego Państwa.

§ 145a — Przechowywanie i przekazy-
wanie broni.

Miałem wówczas 28 lat. Za wszystko łącz-
nie dostałem 25 lat i w 1952 roku wywie-
ziony zostałem do KOMI ASSR m.Inta. W
wyniku złożonej apelacji zmniejszono wy-
rok do 10 lat. Po śmierci Stalina w 1956
roku była amnestia, wyszedłem na wol-
ność, z tym, że nie wolno mi do dziś opu-
ścić miasta Inta, gdzie odbywałem karę. Zo-
stałem zwolniony z ograniczeniem praw
obywatelskich. Nie wolno mi nigdzie wyje-
chać. Dostałem domek na sianach 4 x 6 m²
z żelaznym piecykiem, traktor przewiózł na
ulicę Wschodnią 20. Ziemi starczyło dla
wszystkich.

Podaję relacje świadków:

W 1951 roku z powodu braku pomiesz-
czeń NKGB zaczęło likwidować więźniów.
Mówiono, że wywożą ich do miasta Abieź
(KOMI — ASSR) na podkarmienie. Tym-
czasem właśnie w mieście Abieź ich za-

mordowano — 8 tysięcy ludzi, w tym Cze-
si, Polacy, Estończycy, Litwini, Łotysze i
obywatele zachodniej Ukrainy i zachodniej
Białorusi (do 1939 Polska).

Na rzece Kasju KOMI — jest wieś Kasju,
tam też na wyspie z tych samych powodów
— braku pomieszczeń — zamordowano 3
tysiące ludzi różnej narodowości, w tym
też Polaków. W mieście Salichard, posio-
łek Ufan, zabito 270 Polaków. Cmentarz
zamaskowano zwierzęcym nawozem.

W mieście Inta (wszystko na terenie
KOMI), posiołek południowy — zamordo-
wano 5 tysięcy więźniów i na tym miejscu
zbudowano fermę ptactwa hodowlanego.

Od redakcji:

*Celem zachowania ekspresji, auten-
tyzmu i klimatu przeżyć naszego roda-
ka, redakcja nie czyniła ingerencji styl-
istycznych. Adresatem listu jest Premier
RP Tadeusz Mazowiecki. Redakcja pol-
formuje Państwa o podjętych przez rząd
działaniach w przedstawionej sprawie.*

**Od dziesięcioleci niezwykłym szczęściem było posiadanie ro-
dziny za granicą. Oczywiście tą właściwą, na Zachodzie. Taka
rodzina nie musiała być nawet specjalnie zamożna. Wystarczy-
ło, że w ogóle była, Tak jest i nadal.**

Rozszerzamy kontakty z rozsianą po ca-
łym świecie Polonią. Również z tą, o której
przez dziesięciolecia mówiło się półgło-
sem. Aktywizują się różne organizacje,
inne się zawiązują. Widać również aktyw-
zację z tamtej strony. Organizacje polonij-
ne ze Stanów, Australii i Europy Zachod-
niej badają skalę potrzeb i próbują reago-
wać na najbardziej dotkliwe braki w Kraju
Ojców. Najbardziej biznesmeni zaczynają
inwestować w polską gospodarkę. I to jest
obieg oficjalny.

Pewna rodzina o typowo kresowym rodo-
wodzie też rozsiała się szeroko po świecie.
Ciekawa jest geografia jej współczesnych
powiazań. Osiedla w kraju część rodu chęt-
nie i z ożywieniem kultywuje kontakty z kre-
wnymi na Zachodzie. Tamci, ze względu
na poczucie więzi rodzinnych, sentyment i
łaskotkę przysyłają paczki, przekazy, za-
praszają do siebie.

Kiedyś do aktualnej siedziby rodu przyje-
chał stary człowiek. Też bliski krewny.
Przyjechał aż gdzieś znaną Bajkałą. Nikomu
nawet do głowy nie przyszło, aby go obwo-
zić po drogich restauracjach, jechać z nim

do Krakowa czy na Wybrzeże. On też ni-
czego takiego nie oczekiwał. W słomko-
wym kapeluszu i znoszonym ubraniu wziął

szkujących w Kazachstanie, a nawet w
bliższych rejonach wypada uznać, że nam
żyje się lepiej. Ubolewając nad naszą, kra-
jową biedą czujemy się jednak zwolnieni z
obowiązku pomagania ludziom naszej krwi.
Ale my jesteśmy przynajmniej u siebie, w
naszym własnym domu i wśród swoich.
Tam na Wschodzie, oficjalnie jest ich nie-
wiele ponad milion.

Ale to nieprawda. To są dwa, może i trzy
miliony. Teraz coraz powszechniej, choć w

nizacjom należy w końcu powiedzieć, aby
przestali pomagać nam.

Jest naszą sprawą, naszej mądrości,
pracowitości i zapobiegliwości odbudowa
zrujnowanego gniazda. Jeżeli komuś mają
pomagać, to tym właśnie rodakom ze
Wschodu. Chciałoby się zaapelować do
nich, aby tworzyli swoiste ziomkostwa na-
kierowane na poszczególne skupiska Pola-
ków. Wyczerpany i uwikłany w przebudowę
gospodarki kraj nie jest w stanie pospie-

Polonica

Drodroży i drożsi

się za porządkowanie ogrodu, aby — jak
powiadał — w rodowej siedzibie pozosta-
wał i po nim jakiś ślad. Po polsku właściwie
nie mówił. Zonaty z Rosjanką, były łagier-
nik nawet nie mógł próbować wychowywa-
nia dzieci na Polaków. Gdzieś więc na Dal-
nim Wastokie polska krew wzbogaciła ro-
syjską nację. Stary człowiek już żyje. Kon-
takty zerwane. Koniec.

Że jest nam wszystkim. I indywidualnie, i
krajowi jako całości. Gdy jednak ogląda się
obrazki z życia naszych Rodaków zamie-

niektórych rejonach trochę niepewnie za-
czynają przyznawać się do polskości. I
trwają. Ludzie proszą, ludzie ciężkiej pracy,
bo inteligencję krwawo wytrzebiono, a w
najlepszym przypadku zmuszono do „repa-
tacji”. Stare babcie uczą wnuki polskiego
ze starych, cudem ocalałych książeczek do
nabożeństwa. Błagają o nauczyciela, o
księdza z kraju. Z ożywioną na nowo na-
dzieją spoglądają w naszą stronę. A my?
Czekamy na zaproszenie od rodziny.. z Za-
chodu. Tym krewnym z Zachodu, ich orga-

żyć z pomocą w ratowaniu rozsypujących
się w gruzach zabytków polskości rozsianych
od Kolymy po Dzinę i dalej. W pierwszej
kolejności akcja powinna objąć kościoły, te
najpewniejsze i sprawdzone po tylekroć w
naszej historii szanse broniące nie tylko
Słowa Bożego, lecz i słowa polskiego.
Niech to będzie wkład tych braci, którym
się powiodło na obczyźnie, na rzecz tych,
którzy pozostali na nieludzkiej ziemi, cho-
ciaż to często była ich ziemia.

JACEK MILEWSKI

Łużycanie — TIMO MEŠKANK I HEIKO KOSEL — w rozmowie z Markiem Cichockim i Marcinem Sitkiem

● W superstallnowskim państwie Honeckera, Łużycanie cieszyli się dość przyzwolonym statusem...

HK: — Tak, to trzeba przyznać, że właśnie w NRD w zakresie praw, Łużycanie osiągnęli najwięcej.

● Jednocześnie można było odnieść wrażenie, że polityka wschodniemieckich komunistów nie jest szczerą, że kryje się za nią jakaś dwuznaczna intencja.

HK: — Kiedy po II wojnie światowej przewagę zdobyli socjaldemokraci i komuniści, generalnie zmienili się stosunek do mniejszości narodowych. Wpływało to z założeń tych partii. Już w 1926 roku w krajowym parlamencie Saksonii komuniści wystąpili z propozycją prawnego uregulowania statusu Łużyczan w Republice Weimarskiej. Istniała również obawa, że Łużyce, znajdujące się w ramach sowieckich terenów okupowanych, mogą być przyłączone na przykład do Polski albo Czech. To zmusiło władze enerdowskie do pozytywnego uregulowania praw narodu łużyckiego.

● Można odnieść wrażenie, że jesteście zadowoleni z enerdowskiego państwa...

HK: — Tego nie mógłbym powiedzieć. W polityce rządu NRD były też jednoznacznie negatywne zjawiska, które wyrządziły łużyckiej kulturze wielkie straty.

● Na przykład...

HK: — Na przykład w rejonach eksploatacji złóż węgla brunatnego niszczone łużyckie wioski, a ludność wysiedlano do dużych miast. Do tej pory nie rozwiązana jest kwestia szkolnictwa. Istnieje siedem szkół z językiem łużyckim, poza tym kilkanaście innych, w których prowadzi się dodatkowo zajęcia w naszym języku. Plan lekcji jest jednak tak skonstruowany, iż zajęcia te odbywają się późnym popołudniem i uczniowie muszą zostawać dłużej, wobec czego nie traktują tych lekcji jako poszerzenia wiadomości o swojej kulturze narodowej, ale jako karę.

TM: — Mam odmienne zdanie niż mój kolega, który jest socjaldemokratą. Reprezentuję katolicką część społeczności łużyckiej. Intencje komunistów NRD wobec naszego narodu zawsze wydawały mi się podejrzane. Przypominam sobie wystąpienie pierwszego prezydenta NRD, Wilhelma Piecka, komunisty, który publicznie zaatakował Łużyczan i ich naro-

dowe dążenia oraz oświadczył, że partia nigdy ich nie zaakceptuje.

Zarówno w zjednoczonych Niemczech, jak i w zjednoczonej Europie, my, Łużycanie, pragniemy nadal mieć swoją własną ojczyznę. Kultura naszego narodu, dziś zagrożona w swoim istnieniu, stanowi pomost pomiędzy kulturami narodów słowiańskich a kulturą niemiecką i kulturami innych narodów.

TM: — Po wojnie w Pradze powstała Narodowa Rada Łużycka, która chciała reprezentować interesy Łużyczan na arenie międzynarodowej. W 1945 roku zorganizowano w Pradze demonstrację na rzecz praw naszego narodu. Inicjatywy te cieszyły się sympatią ówczesnego prezydenta

nie nie stali się pierwszą ofiarą zjednoczenia. Jeśli chodzi o korzyści, to w pierwszym rządzie powinny to być profity ekonomiczne.

● A jednak zdecydowana większość Łużyczan głosowała w wyborach na CDU, a więc optowała za szybkim zjednoczeniem, jak to wytłumaczyć?

TM: — CDU była praktycznie jedyną partią, która w swej walce przedwyborczej zwróciła się do Łużyczan w ich narodowym języku. To odegrało dużą rolę. Poza tym wielu Łużyczan, powiązanych wcześniej z komunistami, oddając głos na chadecję, chciało w ten sposób wyraźnie odciąć się od swojej przynależności. Sprawy narodowe, ewentualna autonomia, to kwestie, którymi dzisiaj zajmują się politycy i historycy. Natomiast zwykli ludzie chcą zjednoczenia i lepszego życia. Społeczności łużyckiej nie można już, tak jak w latach czterdziestych, traktować w aspekcie politycznym, a tylko kulturowym i historycznym.

nowego podziału administracyjnego autonomicznych okręgów łużyckich.

● Jak wyobrażacie sobie współpracę między takimi okręgami a Polską. Czego oczekujecie od nas?

HK: — Zjednoczenie Niemiec stawia słowiańskie narody, takie jak Łużycanie, Polacy, Czesi i Słowacy, w zupełnie nowej sytuacji. Posługując się terminologią wojskową, Polska mogłaby stać się dla nas pewnym zaplecziem, natomiast my musielibyśmy odegrać rolę forpocząty, choćby z tego względu, że najlepiej orientujemy się w sytuacji niemieckiej.

● Czy Niemcy nie uznaliby was za piątą kolumnę?

HK: — Byłoby to najgorsze, co mogłoby spotkać Łużyczan i Polaków.

Dziś i w przyszłości należy respektować fakt, że jesteśmy najmniejszym narodem słowiańskim, który nie posiada własnego kraju ojczystego, lecz naród ten, podobnie jak inne narody europejskie, ma prawo istnieć teraz i w przyszłości. Każde państwo, w

Pragniemy własnej ojczyzny

Czech, Benesza, który liczył na możliwość przyłączenia Łużyc do Republiki. Pomoc, która płynęła dla nas z zagranicy, również z Polski, spotykała się we Wschodnich Niemczech z respektem, ale i z przeciwną reakcją. Dla mnie relatywnie duże prawa Łużyczan w NRD były raczej próbą tłumienia i wygaszania narodowych ambicji tego narodu. Intencja ta w jaskrawy sposób objawiła się w latach 50-tych, kiedy zaczęto prześladować ludzi związanych z ruchem narodowym.

● Teraz stoicie wobec nowego wyzwania. Jakie zagrożenia i jakie korzyści widzicie w zjednoczeniu Niemiec?

HK: — W NRD Łużycanie stanowili około 0,5% ogółu ludności. Po zjednoczeniu procent ten jeszcze się zmniejszy. Należy liczyć się z narastaniem pewnych zjawisk nacjonalistycznych wśród Niemców. Chcielibyśmy zwrócić uwagę opinii publicznej na ten problem, tak, by Łużycza-

Historia narodu łużyckiego skłania Łużyczan do przedstawiania ich własnych zadań w czasie, gdy przygotowuje się zjednoczenie dwóch państw niemieckich, jednak Łużycanie nie mają pozytywnych doświadczeń ze współżycia z państwami ogólnoniemieckimi.

● Czy obserwując wydarzenia na Litwie, Łotwie i Estonii nie jest wam trochę żal, że nie macie własnego państwa?

HK: — Stworzenie niezależnego kraju związkowego Łużyce, to bardzo piękna idea. Trzeba być jednak realistą. Nawet jeśli takie państwo by powstało, to Łużycanie nadal stanowiliby w nim mniejszość. Idea taką nie jest zainteresowana ludność niemiecka, która na południu ciąży ku Saksonii, a na północy ku Brandeburgii. Łużyce są podzielone, dlatego nie sądzę, aby mogło dojść do utworzenia takiego państwa. Naszym programem jest raczej utworzenie w ramach

którym żyjemy lub będziemy żyć, ma obowiązek reprezentowania i obrony praw narodu łużyckiego.

TM: — Myślę, że strona polska może bardzo wiele wnieść do rozładowania napięcia między Niemcami a Polską. Nie można ciągle czekać, że Niemcy wyjdą wam naprzeciw, ale samemu zrobić pierwszy krok. Mam tu na myśli niemiecką mniejszość w Polsce. Polityka wzajemnego rozliczania i obustronnych zarzutów, nie przyniosła niczego dobrego ani przed wojną, ani po niej. Teraz potrzebna jest polityka wzajemnej tolerancji i wychodzenia naprzeciw. Polska mogłaby w ten sposób zyskać na świecie wielki autorytet moralny, a także pomóc nam. Niemcy poczułyby się zmuszone do prowadzenia korzystnej dla nas polityki. Nie byłoby również pretekstu do ewentualnych sporów z Polską.

W wywiadzie wykorzystano fragmenty uchwały Łużyckiego Okręgowego Stółu z dnia 6 marca 1990. Miejsca te wyróżniono kursywą.

BENO BUDAR

że znikąd przyszedł i nie ma gdzie odejść
może
nie byłoby dziś martwe
morza wzdłuż naszych wybrzeży
i ogrodów wzdłuż naszych dróg

Poprzez ziemię
idziemy
krok po kroku wydeptując pustynię
z oczami utkwionymi w dal

Ile jeszcze
przestanie oddychać mój
ogród wzdłuż ludzkich dróg
nim człowiek pozna
czym jest i czym był
i czym mógłby być
idąc przez ziemię ze wzrokiem
utkwionym w dal

Przez bezdroża kosmosu
idziemy
nie wiedząc skąd ani dokąd
z drzazgą w sercu i ogniem w dłoniach

Może
gdyby każdy z nas wiedział
skąd przyszedł i dokąd odejdzie
albo

BENEDYKT DYRLICH

PRZEDWIOŚNIE

Te próby poetyckie są
zieleniącymi się gałązkami na drzewie
w środku mojego kraju i są też
cieniami biegnącymi nocą pod księżycem
albo rozbłyskującym na wszystkie strony
obłokiem. A poza tym
jest nieustanne szukanie
dwojga oczu, są czasem
sny wysokie, nierealne melancholie: Ale
— cokolwiek się wydarzy —

litery są wonią ziemi
tającej cicho ku wiosnie.

te wszystkie błękitne

Jest koniec maja 1990 r. Przekraczam granicę w Cieszynie, miasteczko podzielonym. Po drugiej stronie Olzy ulice puste i zapuszczone. Jakież kontrast ze wschodnią częścią miasta, kipiącego życiem mimo soboty...

W drodze do ZG PZKO oglądam siedzibę redakcji polskiego miesięcznika „Zwrot”. Wychodzą tu również czasopisma dla dzieci i młodzieży, lecz ich byt jest zagrożony wstrzymaniem dotacji państwowych. A dotacje te nie były pięknym gestem, lecz jedynie częściowym zadośćuczynieniem za konfiskatę polskiego majątku społecznego. Tamtejsi Polacy próbują się bronić przed zagładą prasy polskojęzycznej uruchamiając działalność gospodarczą, która wesprze m.in. wydawnictwa.

Bez słowa wyjaśnienia, nie mówiąc o przeproszeniu i zadośćuczynieniu, zatrzymano prenumeratę polskich czasopism. Polska gazeta stała się 3—4 razy droższa od czeskiej, „Magazyn Polski” zaczął kosztować tyle, co 4 numery „Śpiegla”. To samo stało się z polskimi książkami. Teraz już mogą sobie na nie pozwolić tylko najzamożniejsi bibliofile, ogół zostaje zmuszony do sięgania raczej po książkę czeską lub słowacką. Przyspieszy to dalsze wynarodowienie, eufemistycznie zwane asymilacją („asymilacja” nadaje się do określania przyswojenia przez obce środowisko, tu zaś mamy do czynienia z wyrzekaniem się narodowości przez tutejszą ludność rdzenną).

Hotel w Karwinie, połączony obecnie z Frysztatem. Na ulicy rozbrzmiewa mowa polska, lecz recepcja hotelowa ma obsadę czeską, podobnie jak restauracja Stadionu Zimowego. W przededniu PZKO-wskiego „Festiwalu '90” działają już pierwsze stoiska bufetowe poszczególnych miejscowości zaolziańskich. Na suchym obecnie lodowisku Stadionu Zimowego młodzież korzysta z gościnnych występów „Lady Pank”, później disc-dżokej z Polski zawiaduje dyskoteką.

Nazajutrz — festiwalowy „koro-wód” zamiast dawniejszego pochodu. Aby nie drażnić Czechów, trasa wiedzie tym razem boczny-

mi ulicami. Uczestników i publiczności na chodnikach — znacznie mniej niż w ubiegłych latach. Po obiedzie uroczyste otwarcie Festiwalu. Doznaję wstrząsu: uroczystość rozpoczyna hymn... czeskosłowacki! Tego się na polskim święcie jakoś nie spodziewałem. Wrażenie nie poprawia odśpiewanie na drugim miejscu hymnu polskiego.

Co chwilę jestem świadkiem powitań zaolziańskich emigrantów i wygnańców z tutejszymi rodzinami i przyjaciółmi. Przybył i słynny Jura z Grónia, poprzednio zawsze jadący na białym koniu na czele festiwalowego po-

Następnego dnia — Jabłonków. Na magistracie napis niby dwujęzyczny, ale w części polskiej „w Jablunkovie” zamiast „w Jablonkowie”. Niczym makbetowskie wiedźmy, nieopodal rozsiedli się za straganami warzywni dwie słowackie staruchy, między sobą podobno gadające po... węgiersku. O niezapomnianych 11 miesiącach w granicach Rzeczypospolitej przypomina jedynie nazwisko dyrektora gimnazjum w Jablonowie z roku szkolnego 1938/39. Mapa walk z Niemcami też wykazuje naciąganie proporcji, czyn AK (oznaczonego tu jako ZWZ) rozplywa się wśród pstro-

miast ogłoszenia w kruchcie — wyłącznie po czesku. Siadam w ławce i sięgam po leżącą tam książeczkę do nabożeństwa. Jest wydrukowana po polsku!

Spotkanie z harcmistrzem Harcerstwa Polskiego w Czechosłowacji (HPC). Pokazuje mi przedwojenne zdjęcia oraz te z czasów krótkotrwałych nadziei na powrót przedwojennych uprawnień Polaków na Zaolziu (1945—47, 1968). Zachował się też sztandar tutejszych przedwojennych harcerów.

Pokazują mi polskie pamiątki także przyjaciele, wracający tu co

Migawki z Zaolzia

chodu, także podczas jesiennego „Górołskiego Święta” w Jabłonkowie. W tym roku wiek już mu nie pozwolił dosięść rumaka.

Wracam razem z tłumami na stadion, bo zaraz wystąpi „Śląsk”. Program, jak zawsze, wywołuje entuzjazm, który tu ma dodatkowo charakter manifestacji patriotycznej.

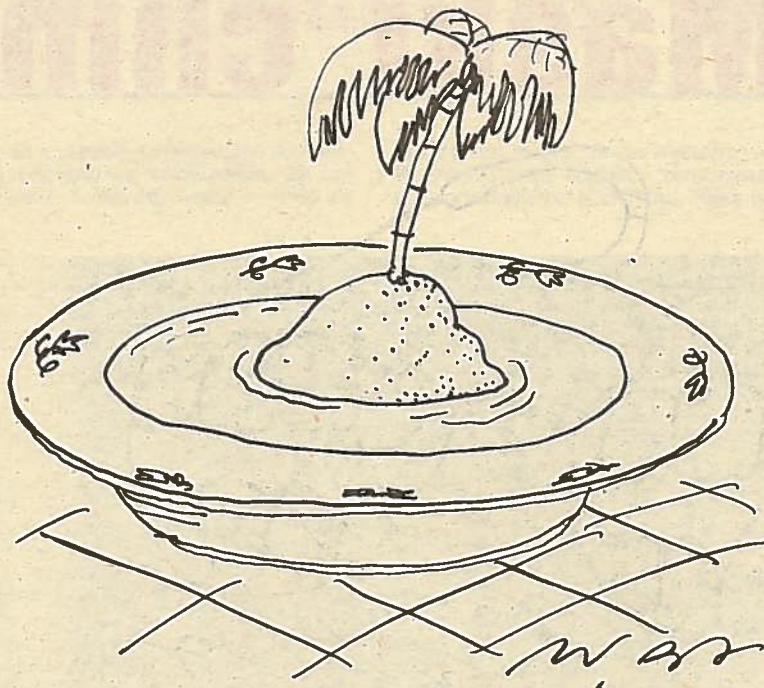
kacizny symboli akcji BCh, AL, a przede wszystkim partyzantki sowieckiej. Cud, że w ogóle wspomniano jakiegokolwiek oddział polski, a zwłaszcza „szkodliwych dla niewinnej ludności bojowkarzy” AK!

Zachodzę do kościoła. Na konfesjonale po lewej stronie napis czeski, po prawej — polski. Nato-

wiosny z Polski, do której się przeprowadzili 20 lat temu (w nadziei wywojowania dla Zaolzia czegoś więcej w Macierzy niż tutaj, nadziei dotąd daremnej). Duży album o Piłsudskim, pożytki broszura „Dowody polskości Zaolzia”, czasopismo tutejszych Polaków. Na jednej z ilustracji oglądamy uczennicę coś recytującą pod napisem „Niech żyje Armia Polska” w pamiętnym październiku 1938. Wczoraj z nią rozmawialiśmy! Przyjacieli wspomina, że entuzjazm ówczesny można porównać jedynie z obecnymi owacjami dla Jana Pawła II.

Przed opuszczeniem Ziemi Zagrabionej (w 1919 i ponownie w 1945) jeszcze słyszę o odmowie udostępnienia wody, wypływającej nad Koszarzyskami na działce Czecha, a potrzebnej polskim harcerzom w ośrodku odziedziczonym po zlikwidowanej Milicji Ludowej (rodzaj ORMO KPCz). Chcą mnie tu widzieć przy następnej uroczystej okazji, na owym Święcie Górołskim. Wyjeżdżając z tej zagranicznej części Polski, zastanawiam się, kogo poprosić o zaproszenie. Jeszcze nie wiem, że nie poproszę nikogo, bo „bratni kraj” wymyśli dla Polaków dolarową opłatę...

BOLESŁAW CIESZYŃSKI



PODGLĄDANIE ŚWIATA

Inaczej

18 maja Nelson Mandela odwiedził pułkownika Muamara Kadhafiego. Pupil demokratycznego świata podziękował przywódcy Libii za „przeszkolenie wojskowe, z którego skorzystał A.N.C.” wyraźnie widać, że Mandela trochę się różni od Mahatmy Ghadiego.

STASI miewa się dobrze

Coraz więcej oficerów STASI uaktywnia się na nowo — wstępując do eneradowskiej policji i armii. Podobno

niektórzy funkcjonariusze prowadzą rozmowy z KGB w celu przekazania Rosjanom niemieckiej sieci wywiadowczej.

Czas odpocząć?

Nerwy zawodzą niektórych polskich polityków. Na jednym z posiedzeń Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, doszło do następującej wymiany zdań: Aleksander Hall: Szanuję Lecha Wałęsę, ale nie uważam go za dobrego kandydata na prezydenta. Lech Wałęsa: A ja nie widzę Olka Halla jako ministra. Może należałoby ustąpić miejsca innym?

Stare w cieniu nowego

Generał KGB, Aleksander Karbajnow powiedział o Łubiance: „Część budynku powinna zostać przekształcona w muzeum ofiar. Obywatele sowieccy powinni tu przychodzić, by poczuć nowego ducha.” Pięknie, ale co z resztą budynku?

Bezwzględni Turcy

Sowiecki samolot AN2, którego pilot po ucieczce z ojczyznoego kraju zwrócił się o azyl polityczny do władz tureckich, pogwałcił obszar powietrzny Turcji. Za to poważne wykroczenie pi-

lot został przez turecki sąd ukarany grzywną w wysokości 10 000 liwrów, to jest około... 4 dolarów.

Polityk z przeszłością

Nie wszyscy pamiętają, że aktywność polityczna Jacquesa Le Pena, współczesnego wodza faszystowskiej prawicy we Francji, została już w przeszłości kilkakrotnie doceniona. W 1971 roku skazano go za gloryfikowanie zbrodni wojennych, w 1987 za „banalizowanie” zbrodni przeciw ludzkości. Także w 1987 r. skazano go jeszcze dwukrotnie za podżeganie do dyskryminacji rasowej.

T.M.

W pierwszą rocznicę krwawej pacyfikacji, na placu Niebiańskiego Spokoju dokonanej przez specjalne oddziały 27 Armii, zciągniętej z prowincji Szensi, odbyła się pokojowa manifestacja studentów Pekinu. Wsparli ją również robotnicy stolicy Chin Ludowych, a także młodzież z innych miast. Przed kamerami TV wystąpił rzecznik rządu — Yuan Mu. Opanowany, zawodowy dyplomata, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, na której próżnoby było odnaleźć nawet cień wzruszenia, oświadczył:

„Większość studentów, strajkujących rok temu na placu Tiananmen, miała dobre intencje, zaś pewną winę za późniejsze wydarzenia ponosi partia... System socjalistyczny w pewnych aspektach jest niedoskonały... Nawet partia popełnia błędy...”

W języku dyplomatycznym istnieje stereotypowa dla tego rodzaju posunięć formuła: „krok (mały krok) we właściwym kierunku”. Formuła równie enigmatyczna, co i niezbyt obowiązująca. Niemniej... Jest to wszakże obszar, na którym znajomość stosownego na nim języka nie gwarantuje jeszcze rozumienia rzeczywistych treści. Przyjęte w naszym kręgu kulturowym i cywilizacyjnym postawy i zachowania nie zawsze pokrywają się z reakcjami bądź zewnętrznymi wyrazami stanów wewnętrznych człowieka, ukształtowanego przez tysiącletnią tradycję, tak niepodobną do tej, która zrodziła się na obszarze cywilizacji śródziemnomorskiej, której korzenie sięgają prądródel chrześcijaństwa. Chińczyk jest — w istocie — żywiołowym ateistą, jest areligijny, lecz cechuje go dążenie do doskonałości, zgodnej z etyką konfucjańską, która zakłada harmonię między rządzącymi a rządzonymi: między władzą a ludem; między ojcem a synem.

Głosa historyczna

Cywilizacja chińska, obok bramińskiej i sumeryjskiej, należy do najstarszych na naszej planecie. Powstawała i rozwijała się jednak w swojej samizolacji; od początku swych dziejów nekana, a niekiedy i zniewalana przez barbarzyńców. Stąd bierze swój rodowód wizja świata — „tien-sia” (dosłownie: „podniebne”, co znajduje się pod kopułą niebios); stąd też źródłowy rodowód pojęcia — „Chung-kuo”, czyli Państwo Środka.

Na paradoks zakrawa, iż od upadku wczesnej dynastii Han jedynie Tang'owie (518—907 r.n.e.) i Ming'owie (1368—1644 r.n.e.) stworzyli narodowe dynastie. Natomiast ludy barbarzyńskie: Kitanowie, Dżurdzenowie, Mongołowie, Mandżurowie raz po raz narzucali Chinom własne dynastie. Co prawda wszyscy obcy na tronie Syna Nieba niezmiennie ulegali sinizacji. Każdy już to Mongoł (dynastia Juan), już to Mandżur (dy-

Joseph Needham, wybitny sinolog, stwierdza:

„...Starożytny feudalizm chiński zastąpił specyficzny typ społeczeństwa, nie mający odpowiednika na Zachodzie. Nazwano go azjatyckim biurokratyzmem... Ludzie tworzący tę biurokrację, mandarynat — to konfucjaniści... Ta sytuacja w Chinach... zagroziła klasie kupców drogę do władzy... Nie ma prawdopodobnie drugiej takiej kultury na świecie, w której koncepcja służby państwowej byłaby tak silnie zakorzeniona...”

Na Zachodzie pokutuje od lat mit immobilizmu rzekomo cechującego Chińczyków... pokory wobec moźnych świata tego, wobec presji zewnętrznej... To tylko mity, pozory, to jedynie maski nakładane w zależności od sytuacji i stosunku sił...

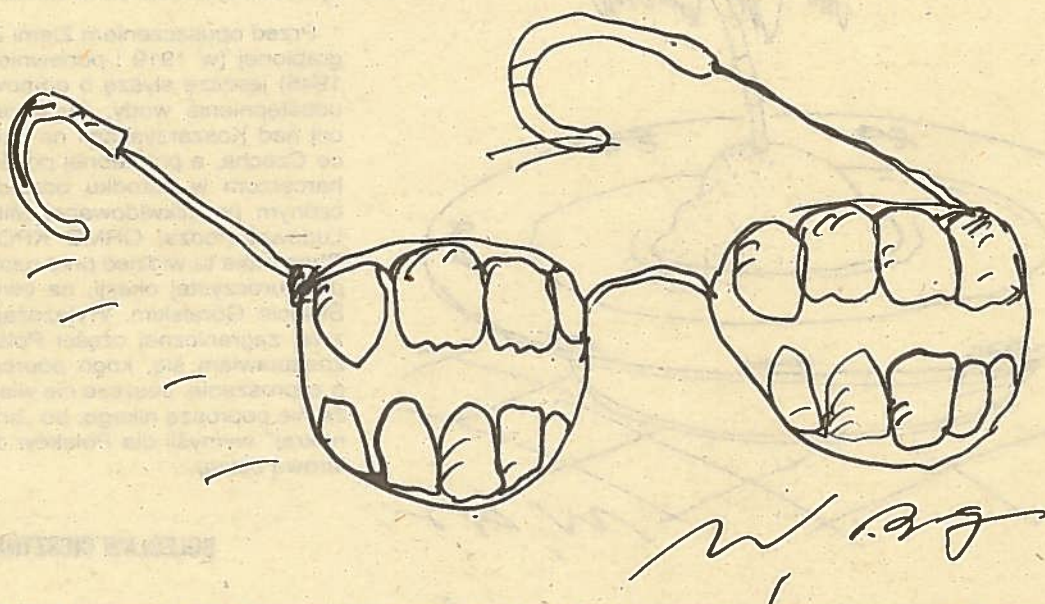
Dzieje Chin — to niezliczone powstania chłopskie, na czele których stawali herosi z ludu — późniejsi władcy na tronie Syna Nieba. To niezwykle zaciekle walczyli z barbarzyńcami z Północy, których nie mogli powstrzy-

cych na scenę światową po wiekach samoizolacji. Spór ów nie powstał w ideologicznej i społecznej próżni. Lecz jego rozstrzygnięcie w 1949 r. na korzyść komunistów — w istocie — zablokowało normalny rozwój kraju, znowu skazując naród na izolację... Ze względu na tradycyjny model konfucjański, preferujący wartości ponadustrojowe i ponadczasowe. „kolektywistyczny socjalizm państwowy” z jego dyktaturą monopartii, nie miał większych szans i wkrótce komuniści zaczęli gwałtownie tracić: poparcie tak inteligencji, jak i młodzieży, zarówno niezbyt licznej warstwy średniej, „jakk” robotników. Jeszcze wieś „tradycyjnie” pozostawała pod wpływami „ganbu” i nie buntowała się, zwłaszcza, że po latach „chudych” reformy Denga od 1979 roku przyniosły chłopom widoczną poprawę sytuacji.

To stary Deng, uchodzący do fatalnego świtu (który był jego zmierzchem...) 4 czerwca 1989 r. za reformatora powiedział:

„Ogromnym i powszechnym problemem w życiu politycznym naszej partii i państwa jest biurokracja, która ma swoją „specyfikę” i różni się od biurokracji starochińskiej, jak i biurokracji kapitalistycznej, gdyż jest związana z naszym silnie scentralizowanym systemem w gospodarce, polityce, kulturze i życiu społecznym, co długo uznawano za istotę socjalizmu... To powoduje, że jest potrzebna radykalna reforma...”

Maski chińskie



Oni też wyznają konfucjanizm! Wszak Mistrz nauczał:

„Lud ma prawo do buntu, kiedy rządzący przestają dawać dowody swej zdolności pełnienia powinności wobec rządzonych”

Zbrodnia na placu Tiananmen o świcie 4 czerwca 1989 roku wstrząsnęła Chinami i światem. Symbolem rewolucji ludowej w Chinach był „Długi Marsz” w 1934—1935 roku, kiedy komuniści, walcząc o władzę z Kuomintangiem, przeszli przez cały kraj z południa na północ, stworzyli nową bazę wypadową w prowincji Szensi (Janan), skąd następnie, w dziesięć lat później, wyruszyli na podbój całych Chin. Dziś możemy powiedzieć, iż „Długi Marsz” faktycznie zakończył się w czerwcu 1989 r. na placu Tiananmen! Był to zarazem koniec komunizmu w Chinach.

nastia Cin) był bardziej Chińczykiem niż sami Chińczycy.

Koniec XIX wieku — to upadek wielkości Państwa Środka... przegrane wojny z Francją, Anglią, Japonią, a jeszcze wcześniej — bezwzględna presja Rosji w Chinach Północno-Wschodnich, czyli w Mandżurii, faktycznie przez Rosjan skolonizowanej na przełomie XIX i XX wieku.

Świadomość narodowa Chińczyków i ich aspiracje zostały zrodzone, jak się wydaje, z głęboko zakorzenionego poczucia odrębności kulturowej, ciągłości historycznej, zakodowanego przeświadczenia o własnej wyższości (wspomniana wizja świata „tien-sia”), która łączyła się w przedziwnym splocie z obolajną dumą narodową i kompleksem w obliczu zachodzących na świecie przemian...

mać legendarny Mur Chiński, nb. jedyny twór człowieka na naszej planecie widziany z Kosmosu. Lecz kiedy ów barbarzyńca zajmował tron... biurokracja narodowa służyła mu wierne, władca zaś lojalnie, a nawet gorliwie, wyrażał rację stanu, która zawsze była „racją” Państwa Środka. Pojęcie „kolaboracji” nie istniało, wszyscy dobrze znali swoje miejsce, znakomicie odgrywali swoją rolę i nikomu nigdy nie spadała... żadna maska.

Powstanie i upadek Utopii

Spór pomiędzy Kuomintangiem (Partia Państwa i Ludu) a komunistami również był swego rodzaju sporem o... maski... Jaka będzie najlepiej przylegała i kryła prawdziwą twarz Chin, chwiejnym krokiem wkraczają-

Lecz kiedy „radykalna reforma” nabrała rozmachu, zaczęła ona wymykać się spod kontroli „ganbu” wszystkich szczebli.

Reformy, tzw. cztery modernizacje: rolnictwo — przemysł — wojsko — nauka — poruszyły ogromny kraj, wszystkie niemal warstwy społeczeństwa chińskiego. Młody robotnik nazwiskiem Wei Tin-szy wywiesił był „tatsybao” — gazetkę wielkich hieroglifów (tradycja z VIII wieku), w której domagał się piątej modernizacji — reformy socjalnej. Dostał 15 lat więzienia, zaś „tatsybao” zostały zakazane... „aby nie przeszkadzały reformom gospodarczym”, jak stwierdził Deng — człowiek w masce reformatora. 4 czerwca zdjął tę maskę i wydał rozkaz czołgom, które rozjechały namioty wraz z ludźmi na placu Niebiańskiego Spokoju, żeby uratować Utopię przed ostatecznym upadkiem, uratować rządy starców w kraju, w którym połowa ludności, a więc pół miliarda (!) — to ludzie poniżej 25 lat.

To groźne. Ale równie groźnie dla Utopii u władzy jest Tajwan — „Wyspa Szczęśliwa” (patrz — „Opinia” nr 7/1990), gdzie rządy sprawują młodzi technokraci (na 13 ministrów — 9 ma doktoraty uniwersytetów USA, a 4 — uniwersytetów japońskich), którzy wcielają w życie zasadę Konfucjusza: „Największą cnotą jest żądza wiedzy”; gdzie dochód narodowy brutto sięgnął 100 mld dol., a per capito — 6000 dol. (w ChRL — 20 razy mniej), zaś rezerwy dewizowe (III miejsce na świecie) wynoszą 76 mld dol. Na Tajwanie już nikt nie nosi żadnej maski. Tajwan — to wizja Chin bez maski, o czym marzył twórca Kuomintangu — Czang Kai-szek, co urzęcywistnił na „Wyspie Szczęśliwej” jego syn — Czang Tsin-kuo.

Wizja końca Utopii jest w zasięgu wzroku.

WŁODZIMIERZ WÓWCZUK

O tym, że alkohol szkodzi napisano już wszystko, albo prawie wszystko. Zobowiązuje się więc ani słowem na ten temat nie wspominać. U wielu osobników wywołuje to bowiem alergię i stany neurotyczne, które mogą być w skutkach znacznie groźniejsze, niż kac po wypiciu pół litra „na łba”.

Odruchami dość szczegółowo zajmował się uczony radziecki Pawłow i prawie że udowodnił, iż zarówno u zwierząt jak i ludzi powstają one na podobnych zasadach. Jednak z jego uogólnieniami dotyczącymi sfery myślenia i odczuć nie godzi się większość specjalistów z krajów, w których „pawłowizm” nie obowiązuje. Ja, co prawda, eksperymenty Pawłowa znam tylko teoretycznie, ale gdy patrzę na swego jamnika, (jak wygrzewa się na mojej wersalce) wydaje mi się wręcz niemożliwe, żeby on nie myślał. Ma taką mądrą minę jakby starał się odpędzić inne natrętne myśli, które nie leżą w głównym nurcie jego rozważań.

Wydaje mi się również, że mógłbym udowodnić związki telepatyczne między nami, szczególnie w dwu kwestiach. Jedną z nich jest spacer. Gdy tylko zakiełkuje w mojej głowie myśl o tym podstawowym obowiązku wobec psa, on już jest przy mnie i merda ogonem. Podobnie jest z jedzeniem. Sądzę, że mój jamnik nie jest jakimś wyjątkiem i wielu hodowców (właścicieli inwentarza domowe-



Fot. P. WIERZCHOWSKI

styszał o wysokich nagrodach za żywe wilki, płaconych przez ogrody zoologiczne. Ponoć miał to być okragły milion za jedną sztukę.

Chodził więc rolnik koło domu i powtarzał w kółko: „Siedem milionów nie wypuszczę do lasu”. Jeden z milicjantów zapytał go chytrze, skąd wie, że w piwnicy jest akurat 7 wilków, skoro ich nie widział. Rolnik zaczął płać się w zeznaniach, ale milicjanta przekonał. Później okazało się, że mógł je wielokrotnie przeliczać, gdyż wilki były w stanie głębo-

bru. Do jego produkcji nie chciał się przystać.

Prawda była w lesie

Krąg zainteresowań prokuratorskich zaczął się poszerzać. Znalazł się w nim również miejscowy leśniczy. Nie potwierdził zeznań rolnika, że pijane wilki są częstym zjawiskiem w jego rejonie leśnym. Zabolalo go podejrzenie prokuratora zainspirowanego przez rolnika, że to być może on

nanie na okoliczność pędzenia bimbru na dość dużą skalę. Z ukrytego w lesie rozczyń mogło powstać kilkadziesiąt butelek bimbru. Jak na własne potrzeby to trochę za dużo, uwzględniając nawet dość liczną rodzinę.

Niedoskonałość ustawy

W ustawie „O wychowaniu w trzeźwości” są przewidziane kary za pędzenie bimbru, handel alkoholem (oczywiście pokatny), rozpijanie nieletnich itd. Nie ma natomiast przewidzianej kary za rozpijanie zwierząt. A taki przypadek miał miejsce w owej puszczańskiej wsi.

Leon P. przyznał się wreszcie, w jakich to okolicznościach wilki znalazły się w jego piwnicy. Otóż to one odkopały „brahę” schowaną w lesie przez Leona P. Widać nie dość dobrze była zabezpieczona, bo piły do utraty przytomności. Podobieństwo pod tym względem do wielu ludzi jest wręcz urzekające. Gdy wczesnym rankiem Leon P. przyjechał w znane sobie miejsce zdebił w pierwszej chwili z wrażenia. Wilki leżały pokotem. Szybko się jednak ocknął i zalał dowołał nieprzytomne zwierzęta na wóz. Po przywiezieniu do domu, wrzucił je do piwnicy.

Spracowany mocno, postanowił najpierw zjeść śniadanie a później powiązać wilki i przygotować do dalszego transportu. Jedzenie śniadania i szukanie odpowiedniego sznurka trwało zbyt długo. Wilki natomiast, pod wpływem piwnicznego chłodu i wspomnianego wyżej zsiadłego mleka, wytrzeźwiały szybciej niż przypuszczał. Gdy zaczęły wyć, Leon P. postanowił sfingować podkop do swojej piwnicy, który wypełnił kamieniami i deskami. Sąsiedzi uwierzyli w tę wersję opowiadania, tym bardziej, że widzieli jak wilki pracują od wewnątrz w piwnicy. Pracowitość ta jednak na nic się nie zdała, bo wilki ostatecznie straciły wolność. Stracił ją również Leon P. Powodem, niestety, była znów wódka, jak ją często nazywają — wróg nr 1 naszego społeczeństwa. Okazuje się, że również wróg zwierząt i to tak przebiegłych jak wilki. One też nie zachowały umiaru.

TOMASZ RAWSKI

Pijane jak wilki

go) może potwierdzić zasadność moich przypuszczeń co do zdolności intelektualnych psów, kotów, papug, a nawet świnek morskich i kanarków. Żeby jednak zwierzęta popadały w nałogi charakterystyczne tylko dla naszego gatunku; o tym słyszy się raczej rzadko. Taki przypadek zdarzył się w woj. białostockim. Pewien rolnik ze wsi położonej na skraju Puszczy Białowieskiej złożył meldunek na komendzie MO, że do jego piwnicy podkopały się wilki. Było to ładne stadko liczące 7 sztuk.

Milion za sztukę

Prosił milicję o jak najszybsze przybycie, ponieważ boi się, że wilki mogą podkopać całe fundamenty i jego dom zamieni się w rumowisko. Rodzina i sąsiedzi skrzętnie zakopują co tylko wilki zdążą podkopać, ale ludzie w każdej chwili mogą opaść z sił, gdy tymczasem wilkom jakby przybywało energii. Kopały żwawo i wyły przy tym okrutnie, wywołując postrach w całej okolicy. Przybyła milicja nie wykazała ani zbytniej odwagi, ani tym bardziej inwencji co do sposobu pojmania dzikich zwierząt. Władza sugerowała umożliwienie odkopania się wilkom i ujęcie do lasu, ale na to nie chciał przystać rolnik, który

kiego upojenia alkoholowego przez kilka godzin. Rolnik fakt ten chciał z początku ukryć. Gdy jednak wilki po pojmaniu przez służbę zoologiczną, zachowywały się podejrzanie za siatką ogrodzenia: (chodziły chwiejnym krokiem, miały czkawkę i nieźnośnie zawodziły) zostały poddane badaniom lekarskim. Analiza krwi wykazała kilka promille alkoholu u każdego z nich. Dawka była śmiertelna i przed niechybną śmiercią uratowało wilki kilka garnków zsiadłego mleka w piwnicy rolnika. Zrozumiałe jest teraz dlaczego mleko zsiadło tak smakuje na drugi dzień po przepiciu. Instynkt nas nie zawodzi.

Wróćmy do naszych wilków, którymi (po milicji i służbie zoologicznej) zajął się prokurator. Gdy zasypał rolnika pytaniami i postraszył wizją długich lat w warunkach znacznie gorszych niż miały wilki w jego piwnicy, ten przyznał się, że miał w piwnicy kilka butelek bimbru przygotowanego na zbliżające się święta. Wilki podkopały się i wypily ten bimber. Zaczął przy tym opowiadać, że po lesie często chodzą pijane wilki. Pewno podkopywały się również do sąsiadów, którzy z dziwnych powodów nie meldują o tym milicji. On wpadł przez chciwość i łapczywość na owe nagrody za pojmane wilki. Gotów był ponieść karę za nielegalne posiadanie bim-

brę. Do jego produkcji nie chciał się przystać.

Kilka dni po aferze z wilkami w piwnicy, leśniczy wybrał się na obchód do lasu znacznie wcześniej niż zwykle. Do wschodu słońca było jeszcze daleko, gdy na małej polance dostrzegł żwawo uwijających się dwu mężczyzn. Odkopywali właśnie duże, 50-litrowe pojemniki, które ukryte były pod ziemią i przykryte ściółką leśną. Po zbliżeniu się na odległość kilkunastu metrów, rozpoznał Leona P. i jego dorosłego syna, niedoszte ofiary pijanych wilków. Wyciągali właśnie tzw. „brahę”, czyli fermentujący rozczyń gotowanych ziemniaków z drożdżami i innymi składnikami. Nie będą ich tutaj zdradzał ze względów oczywistych. W warunkach rynkowej gospodarki informacja jest również towarem i ma swoją cenę.

Leśniczy zachował się w tej sytuacji nie gorzej niż porucznik Borewicz. Przyszło mu to tym łatwiej, że uzbrojony był w strzelbę dwururkową, a w każdej z rur załadowany był nabój na grubego zwierza. Ojciec z synem dali się więc posłusznie zaprowadzić na posterunek milicji, gdzie złożył zez-

W „przemysłniku” — jak popularnie nazywany jest wieczorny pociąg relacji Warszawa-Berlin, odchodzący późnym wieczorem ze stolicy, tłoku pod koniec czerwca nie było. Dziwnie to trochę, spodziewano się sytuacji zupełnie odwrotnej, a to dlatego, iż tylko do końca czerwca Polacy mogli przybywać do Berlina Zachodniego bez wiz.

Niegdyś, ho, ho, wagony pękały w szwach od ton kielbasy, i szynki, kartonów masła i konserw, papierosów i wódki. To było jeszcze przed kilkoma miesiącami. Z żywnościowo-użytkowego szmuglu pożytek mieli nie tylko przemysłnicy, ale głównie zaopatrujący się u nich przebywający na dłużej czy krócej w West Berlinie Polacy, Turcy, Jugosłowianie i najrozmaitsze inne nacje. Oprócz wspornianych artykułów wożono więc niejako „na zamówienie” nawet... żywe barany. Jakim cudem uchodziło to wszystkim uwadze celników, trudno pojąć. Wtajemniczeni twierdzili, że dobrą łapówką wszystko można załatwić.

Co prawda

Władze Berlina Zachodniego raz po raz czyniły hałas o to, że na gigantycznym bazarze Flomarkt żywność jest sprzedawana w warunkach urągających wszelkiej higienie. Miałem zresztą wczesną wiosną okazję do obejrzenia sobie tego bazaru, do którego trudno było dotrzeć poprzez uliczki zastawione szczelnie maluchami, dużymi fiatami i Polonezami. Istotnie widok mięsnych ochłapów oferowanych z leżących na ziemi gazet, a w najlepszym przypadku z niewielkich składanych stolików, nie budził specjalnie apetycznych skojarzeń, ale interes szedł. Weźmy na przykład gorzałkę. Najtańsza czysta w najpopularniejszym, a więc najtańszym markiecie „Al-diego”, kosztowała około 16 marek. No, są tam i tańsze alkohole, niemniej szanujący się wschodnioeuropejczyk nie wleje do garbla greckiej anyżówki czy jakiegos miejscowego draństwa. Stąd niezwykle powodzenie czystociuchy made in Poland, sprzedawanej po 8 marek. Zważywszy cenę marki i cenę tejsze gołdy w kraju, wychodziło ni mniej ni więcej tylko dwukrotne „przebicie”. Warto? Podobnie rzecz się miała z jajami, serem i wszelkim innym spożywczym dobrem. No, ale to było kiedyś.

Granice dla produktów żywnościowych Niemcy uszczelnili jeszcze w kwietniu. Nie spowodowało to jednak paniki. Wiadomo, nie

ma wdzięczniejszej nacji do robienia w konia niż potomkowie Schillera i Goethego, z czego rodacy, wychowani na „Czterech pancernych i psie” skwapliwie korzystali. Gdy jednak granicę zablokowali celnicy polscy, żarty się skończyły. Wódki wolno więc przewieźć fiaszkę na głowę, papierosów 200 sztuk, a żywność tylko w ilości niezbędnej na czas podróży i to nie w żadnych tam półproduktach. Kanapki, puszka konserw — nic więcej. Zdawać by się mogło, że handelek odejdzie w zapomnienie. Tymczasem... nic podobnego.

Druga połowa czerwca

Pasażerowie zajmują miejsca w „przemysłniku”. Od razu rzuca się w oczy brak bagaży. Jeśli już ktoś ma plecak w popularnym kształcie „komina”, to pusty. Przeważają reklamówki, w których dopiero pochowane są duże torby. Zamiast

pije — wiadomo, wredni celnicy potrafią odmówić odprawy podróżnego zbyt nasączonego spirytualiami. I tak docieramy do Kuno-wic. A tu już wchodzi celnicy.

— Patrzcie, jednak znaleźli frajerów! krzyczy ktoś z korytarza — rzeczywiście, mieszane zestawy funkcjonariuszy polskich i wschodniemieckich wyprowadzają z wagonów kilkudziesięciosobową grupę obciążonych bagażami podróżnych. Oni już tym pociągiem nie pojadą. Jeśli zgodzą się zostawić towar w komorze celnej, może pojadą następnym, ale to wątpliwe.

Do naszego przedziału najpierw wchodzi WOP-iści, jednocześnie obu krajów. Niedbale przeglądają paszporty, przybijają byle jak i byle gdzie pieczęcie. Potem celnicy, też obu krajów jednocześnie, patrzą na półki, gdzie leży kilka plastikowych toreb, machają rękami i wychodzą. Po kilku minutach pociąg rusza, po kilkunastu staje już po tamtej stronie. To Frankfurt nad Odrą. Celnicy i Wopści wysiadają, jedziemy dalej.

— Zamknijmy okna i w ogóle siadajcie jak najdalej — radzi ktoś, kto widocznie przemierzał ostatnio tę trasę. Przy nasypie pracują robotnicy torowi. Widząc polskie wagony, stroją małe miny, klną, czasem któryś rzuci

paszportów, wychodząc widocznie z założenia, że jeśli ktoś idzie na „tamtą stronę”, to widocznie ma dokumenty w najlepszym porządku. Jeśli nie ma, będą kłopoty przy powrocie. A jeśli nie zechce wracać? To jeszcze lepiej. I tak za parę dni zejść z tego posterunku, by już nigdy tu nie wrócić.

Polaka w Berlinie Zachodnim poznać łatwo. Oczywiście Polaka, który wpadł tu na kilka godzin. Ci bardziej zadowoleni, wolą się w ogóle nie przyznawać do narodowego pokrewieństwa z załatanymi gośćmi o rozbieganych oczkach, toczących przed sobą składane wózki bagażowe wypełnione kartonami pełnymi wszelkiego dobra. Głównie piwa puszkowego, orzeszków i sprzętu elektronicznego. Miejscowi Niemcy, są przyzwyczajeni do takich widoków, a przy tym tolerancyjni, nie komentują raczej tych nieco dziwnych postaci, nadających ton ulicom położonym blisko dworca ZOO, skąd wieczorem odchodzi jedyny, od czasu wprowadzenia nowego rozkładu jazdy, pociąg do Warszawy.

— To już koniec interesu — powiada poznany jeszcze w pociągu facet, jak się okazuje nauczyciel z Białegostoku. — Popodnosili ceny dosłownie na wszystko, tymczasem rynek krajowy jest zapchany odtwarzaczami video,



dety. Mamie wykończony, zrobiony z jakiegoś „szajsmetalu” łączonego z tworzywami sztucznymi rewolwery firmy „Umarex” biją na głowę dwukrotnie niższą ceną solidne niemieckie spławy. Lojalnych uprzedzeń sprzedawców nikt raczej nie słucha. Kłopoty zaczynają się w Polsce, gdy na te jednorazowego użytku zabawki nie reflektuje

Ostatnia Wyprawa

towaru wszyscy wiozą marki. Bo do wysokości przeliczonej na 500 dolarów pieniądze wywieźć wolno. A w przedziałach pustki.

Mimo, że nie ma tłoku, kilku podróżnych kończy wędrówkę na pierwszej stacji poza Warszawą. Po prostu zostali przy wchodzeniu do wagonu okradzeni przez działającą tu którąś z licznych, wyspecjalizowanych w kieszonkowym fachu szajek. Potem już spokojnie, mijają nocne godziny wraz ze stacjami. Kutno, Konin, Poznań, to już 4 rano. W przedziale zajmowanym przez trójkę młodych ludzi z Bełchatowa rozmowa jakoś się nie klei. Bo i o czym rozmawiać? Nikt nie zdradzi tajemnicy, gdzie najlepiej kupić to czy tamto. Wódki w kierunku „tam” też nikt nie

kamieniem. Na szczęście nie w szyć. Tak wita nas naród, który przez kilkadziesiąt lat przekonywał Polskę o przyjaźni i współpracy. Pies ich trącał.

Do Berlina ledwo trochę ponad sto kilometrów. Podróż mija jak z bicza strzelił. Dopiero na Hauptbahnhof zaczyna się dom wariatów.

Gromady Polaków

Biegają w tę i z powrotem, nie mogąc trafić do znanych jeszcze sprzed kilku tygodni miejsc. Bo z Hauptbahnhofu trzeba dojechać kolejką nadziemną do przejścia granicznego Friedrichstrasse, a obecnie nie jest to łatwe. Po prostu w obliczu bliskiego zjednoczenia, sieci kolejek wschodu i zachodu są ujednolicane i łączone. Dotychczas bywało bowiem tak, że stajce końcowe wielu linii kończyły się tuż pod murem dzielącym miasto na dwie części. Teraz tu i tam dokonuje się przekopów. Gdzie indziej nawet łączy kolejki ziemne z podziemnymi, co wprowadza totalne zamieszanie. Berlińczycy, informowani codziennie przez gazety i radio, którzy mają jeździć, jakoś sobie radzą.

Polacy są dezorientowani. Niektórzy jeździli, jak się potem okazało, kazamatami U-bahnu po kilka godzin. Najmądrzejsi poszli po prostu piechotą do dożywającego swoich ostatnich dni punktu granicznego C-like Charlie, obsługiwane przez żołnierzy w amerykańskich mundurach, nonszalanckich, ale i nie robiących żadnego problemu z tego, że ktoś ma zamiar przejść na tamtą stronę. Co ciekawe, nie oglądali w ogóle

telewizorami kolorowymi i innym towarem. Nie ma sensu już tu przyjeżdżać, ja w każdym razie zdecydowałem się na to po raz ostatni.

Faktycznie

Na polskim rynku najlepiej dotychczas szły wideoodtwarzacze japońskiej firmy Toshiba, niżej nieco ceniono sprzęt marki Aiwa czy Sanyo. Kilka miesięcy temu na sztuce — bo tyle wolno wwieźć do kraju bez cła — można było zarobić i pół miliona. Teraz góra 100 tysięcy, a więc cenę biletu. Bez sensu. Radiomagnetofony Philipsa czy Sharpa również przestały być przebojem prywatnego importu — w kraju jest tego sporo, a brak serwisu stawia je w gorszej sytuacji niż wyroby np. Kasprzaka. Zostaje więc wspomniane piwo i orzeszki, ewentualnie czekolada. Ale ileż tego można nabrać do torby?

Handlarze „dni ostatnich” chwycili się więc ostatniej deski ratunku — broni gazowej. Tę można tu kupować bez żadnych ograniczeń i w szerokim asortymencie. Choć również zdrożała, stanowi opłacalny interes. Np. pistolet znanej i cenionej marki Röhm kosztuje 100—110 marek, w zależności od modelu, a w kraju idzie spokojnie za ponad milion. Nieco gorszy Reck nabywa się za jakieś 70 marek, sprzedając za 860 tysięcy Recki mają zresztą kiepską opinię — lubią się zaciąć, a mały zasięg kwalifikuje je raczej jako broń damską.

Są tylko dwa „ale”

Pierwsze, to zalew włoskiej tan-

żaden z licencjonowanych punktów skupu, a na bazarach nabywcy, dobrze zorientowani w wartości poszczególnych wyrobów, nie chcą na owe „Umarexy” nawet patrzeć. Więc interes leży.

Drugie ale, to przepisy NRD-owskie, zakazujące absolutnie przewożenia podobnych sprzętów przez terytorium bratniego kraju. Pewnie szanse mają posiadacze zaświadczeń Polskiej Misji Wojskowej, ale ta leży daleko, mało kto ma czas na podróż do odległej dzielnicy willowej Grunewald, gdzie będący tuż przed emeryturą wojacy armii polskiej uwili sobie zaciszne gniazdko. Poza tym uzyskanie wątpliwą wartość zaświadczenia kosztuje tam prawie 60 marek, stąd tylko szalenie zdecydowałby się na uzyskanie tegoż, niejednokrotnie przekraczającego cenę „klamki”.

No a ci, oo zaświadczenia mają, jak i ci, którzy ich nie nabyli, są obiektem polowań wschodniemieckich celników. Gdy wypchany do granic możliwości pociąg (jako że wleczę o połowę mniej wagonów niż ten, którym Polacy tu dotarli) dociera po kilku minutach na Friedrichstrasse, zaczynają się sądne dni a raczej minuty. Wagony wypchane, bo puste w tę stronę torby są teraz pełne. Wszyscy muszą wyjść na peron, a tam zaczyna się regularne „trzępanie”. Celnicy zachodni nie biorą w tym udziału, dla nich sprawa jest prosta: ludzie przywieźli marki, kupili towar, od którego pękają w szwach sklepy, jednym słowem zrobili dobrze. Niech jadą. Co innego wschodni. Gratką jest dla nich złapanie Polaka wiozącego coś niedozwolonego. Przekleństwo, popychanie, wywalanie za-





wartości bagaży na peron — niemiecki takt — w najwyrazistszych przejawach. Tu złapali kogoś z pistoletem — posiedzi przez noc w piwnicy aresztu. Tam przyłapali kobietę z belą materiału — a tego też nie wolno. Krzyki, pogroźki. Polacy stoją jak zamurowani — nikt nie odważy się zaprotestować. Jakiś młodzian warczy pod nosem — o żesz wy szwabskie kurwy, ja tu jeszcze kiedyś przyjadę czołgiem. Zobaczymy, kto mocniejszy...

Wolno wsiadać

Upokorzony tłum zajmuje miejsca w wagonach. I znowu cisza. Ludzie wstydzą się siebie nawzajem, nie chcą rozmawiać. A po niecałych dwóch godzinach znów Frankfurt nad Odrą i znów niemieccy celnicy. Razem z polskimi. — Jak kto ma sprzęt elektroniczny, niech nie mówi — konspiracyjnie zaznacza wąsaty sierżant w polskim mundurze. Postępujący za nim Niemiec podejrzliwie ogląda stojących w korytarzu, nie szczędząc głośniejszych wrzasków. Aż dotarł do rozwalonego w przejściu dobrze zbudowanego, mniej więcej 30-letniego człowieka. A ten ani myśli ustąpić Szwabowi miejsca.

— Polnische kultur — warczy Niemiec.

Polakowi zabrano wszystko na Friedrichstrasse, jest wściekły. Powoli wstaje.

— Jak ci zaraz bydłaku dowale, to cię stąd wyniosą, hitlerowski pomocie, synu nieznanego żołnierza, taka twoja w tę i z powrotem mamusia — wyklada na cały wagon.

Niemiec wszystko rozumie, kurczy się w sobie i milknie. Powoli i chyłkiem przemyka do wyjścia. Wyskakuje już w biegu. Po kilku minutach jesteśmy w Polsce. Tu też jeszcze grasują Niemcy, ale nikt ich nie bierze poważnie. Po słyszeniu przez cały wagon wymianę zdań między „złodziejem” a „ograbionym” jeszcze nie milkną śmiechy.

Ktoś przelicza, ile zarobił, wynik raczej kiepski. Inni macają swoje torby. Teraz już naprawdę jesteśmy u siebie.

WIESŁAW BENDKOWSKI
Zdjęcia: GRZEGORZ DYMOWSKI

Ja — podatnik cz. II

Jak doganiałem Europę

Zaledwie kilka tygodni temu ja — podatnik — zgadzałem się na bezrobocie, byle dano mi w zamian możliwość działania na niwie gospodarczej. I proszę: słowo ciłem się stało — ku memu lekkiemu zaskoczeniu macierzysty zakład pracy wziął... I się rozwiązał. Ja — podatnik — życzyłem mu tego już od dawna. I tylko czekałem, by nareszcie rozwinąć skrzydła przedsiębiorczości indywidualnej w celu wspomnienia dumnych reformatorów naszego systemu. Czym? Oczywiście większymi podatkami płaconymi w chwałę — bo ku pożytkowi wspólnemu.

Pierwsze 60 tysięcy złotych wydałem na konsultację prawniczą. Dowiedziałem się z niej, że właściwie najlepiej byłoby założyć spółkę z o.o. (10 milionów złotych — kapitał przewidziany prawem — naturalnie najniższy z możliwych i skromne 3 miliony dla prawników skracających mi termin oczekiwania na rejestrację ze 150 do 40 dni). Dowiedziałem się też — od specjalisty z zakresu spraw skarbowych — że niemal do wszystkiego Izba Skarbowa dolicza podatek obrotowy — dochodzący w przypadku akwizycji — do 10%. Jedynymi nieopodatkowanymi breweriami ludzi przedsiębiorczych dysponujących wspomnianymi w poprzednim artykule 5 milionami złotych — mogą być usługi. Tą drogą poszedłem...

Postanowiłem się więc zarejestrować. Ja — podatnik — nie zgadzam się bowiem na bierne oczekiwanie na jałmużnę i gotów ja jestem brać tylko w ostateczności. Dowiedziałem się jedynie — że szumnie obcywany kredyt dla bezrobotnych przysługujących do pracy na własną rękę — mnie i mnie podobnych nie obejmuje. I jeszcze 95% chętnych. Dlaczego? — Takie przepisy... — brzmiała odpowiedź.

W Wydziale Handlu i Usług czekałem 14 dni na wpis do ewidencji (60 tysięcy). Przez ten czas przejeżdżałem częścią odprawy (250 tys.) i nawiązywałem pierwsze więzi kooperacyjne z potencjalnymi klientami. Po dwóch tygodniach ja — podatnik — rażnym krokiem wmaszerowałem do właściwej Izby Skarbowej. Tu dowiedziałem się — po zarejestrowaniu i uiszczeniu kolejnych 13 tysięcy — że nie przysługują mi też tak reklamowane przez tuzów ekonomiki 3-letnie, czy choćby nawet roczne zwolnienie od podatku dochodowego. Obrotowego — jako usługodawcy — płacić na szczęście nie kazało. Dano mi jeszcze książkę podatkową i... przykazano zgłosić się 20 dnia nadchodzącego miesiąca — oczywiście w celu naliczenia podatku (40% zysku).

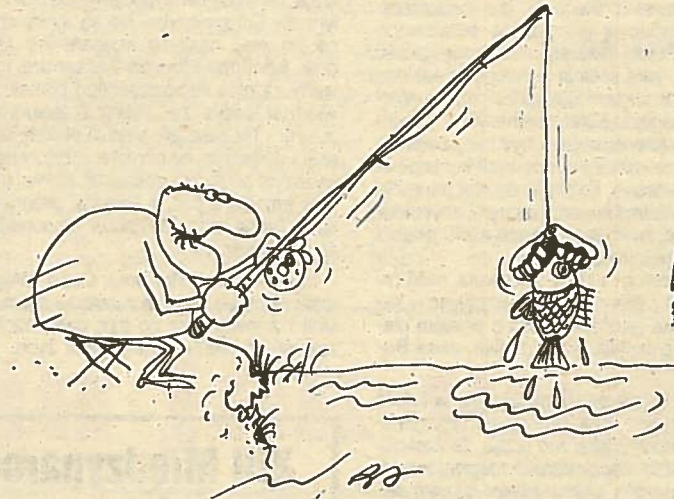
Z wpisem, rejestracją i ZUS-em poszło łatwo. W ZUS-ie powiedziano mi tylko, że płacę 166 tysięcy miesięcznie i już. Chyba, że chciałbym się ubezpieczyć na kwotę sięgającą poziomu nie najniższej pensji, a średniej. Nie chciałem...

Schody zaczęły się w banku, gdzie ubzdurało mi się, że mogę otworzyć rachunek bieżący. „A pieczątki Pan ma?” — to pytanie wytrąciło mnie z marzeń o złotym cielcu na ziemi. Ja — podatnik — nie pódalem się jednak i już 16 dnia po opuszczeniu posady zamówiłem pieczątki swej firmy (78 tysięcy). Wcześniej nie było to możliwe — bo aby mieć pieczątkę — trzeba dokonać wpisu wspom-

nianego na wstępie — czyli odczekać 14 dni.

22 dni po opuszczeniu pracy (dodatkowe wydatki na życie, opłaty i należności za mieszkanie, telefon itd. — sięgnęły kolejnych 120 tysięcy) miałem już pieczątki. Czekając na nie ja — podatnik — zadbałem o zaopatrzenie mego punktu usługowego w konieczne materiały i środki. Jako że zakładany profil działania nie był materiałochłonny — wydałem jedynie 600 tysięcy.

Wędrówka po bankach trwała równo tydzień (dokładnie — 23 placówki odprawiały mnie z kwitkiem — tłumacząc jak dziecku, że wreszcie nie muszę prowadzić rachunków bieżących, więc robić tego nie zamierzają — bo to dużo pracy, a zysk żaden. Poza tym — nie mają wolnych kont. Wreszcie! — upragnionego numeru konta doczekałem się w jednym z banków na uboczu (krople na uspokojenie po wysłuchaniu pana — 22 tysiące złotych — urzędy i poczta jak zwykle dopisały, książeczka ZUS-u jeszcze nie nadeszła i płaciłem 100% ceny leku).



Był miesiąc trwało chodzenie i załatwianie. W tym szasie wydałem ja — podatnik — równo jeden milion pięćset tysięcy — czyli równoważność 2-miesięcznej płacy. Liczę, że koszty wzrosną do 2—2,5 miliona zanim zacznę zarabiać na życie. Ja — podatnik — wcale się tym jednak nie martwię. Wiem bowiem, że i tak zaoszczędziłem jeszcze jeden milion (tyle wynosi nieoficjalna opłata za założenie w pseudo-banku rachunku bieżącego — a ja jej uniknąłem). Wiem również — że przez najbliższy miesiąc wszystkie wydatki wliczać będę w koszty i Izba Skarbowa guzik zobaczy a nie podatek — bo dokładać do interesu nie zamierzam. I wiem w końcu, że znów nie wziąłem od państwa ani grosza, nie uzyskałem żadnego kredytu, nic nikomu nie jestem winien. Ja — podatnik — nie wiem jedynie — bo wiedzieć nie mogę — jak będzie wyglądać funkcjonowanie mej firmy. Być może się utrzyma. Może. zbankrutuje. Bez względu jednak na finał — w końcu jakieś podatki płacić będę i w związku z tym — pytam:

Po pierwsze — dlaczego nadal łatwiej jest stracić pracę niż otworzyć coś własnego — choćby punkt usługowy?

Po drugie — dlaczego na tanie kredyty i zwolnienia od podatku dla rozpoczynających działalność gospodarczą nadal nie ma środków, gdy tymczasem wciąż znajdują się pieniądze na dotacje dla byle jakich zakładów produkują-

cych byle jakie i drogie wyroby? Ostatnio 100 miliardów dofinansowania z budżetu państwa — więc i z mojej — podatnika — kasy otrzymała Fabryka Samochodów Małolitrażowych w Białym Białej. Z tego miliard wydali dzielną samochodziarzę na swój klub sportowy. Żądam odpowiedzi — kto wydał moje — podatnika — pieniądze na hołubienie resztek (jak widać — sporych) systemu nakazowo-rozdzielczego. Kto był tym dobrym wujem bawiącym się za cudze miliardy? Życzę sobie natychmiastowej dymisji tegoż wuja.

Pro trzecie — pytam — kiedy wreszcie zacznie się w Polsce mniej mówić o postępie i prze kształcaniach, a zwyczajnie — więcej robić. Dlaczego jeszcze nie zmieniono ustawy o przedsiębiorczości, wydanej za śp. PZPR, dlaczego nadal różni do brzy wujowie bawią się w politykę, zamiast reformować system bankowy i Kredytowy, dlaczego na telefony do banków wydałem 17 000 złotych (bo oczywiście kolejny dobry wuj zamiast

podpisać umowę z przedsiębiorstwem zajmującym się telekomunikacją znów mówi mi w telewizji o cierpliwości i imponderabiliach).

Po czwarte: ja — podatnik — żądam, tym razem stanowczo żądam, wyborów do Sejmu jeszcze jesienią. Z wymienionych powyżej faktów wnioskuję, że aktualni posłowie już swoje zrobili. Wszystkie czynności prowadzące do założenia własnej firmy, za własne pieniądze i na własne ryzyko ja — podatnik — powinienem już dziś, rok po wyborach 4 czerwca, móc wykonać nie w dni 30, ale w 3! Dopiero w momencie, w którym to będzie możliwe — uwierzę w dobre intencje — a przede wszystkim — kompetencje reformatorów wszelkich odcieni i o różnej skoczności.

Na razie — ja — podatnik — spełniam dawną groźbę i wypowiadam moim zleceniobiorcom i plenipotentom umowę o pracę. Nie zamierzam dłużej utrzymywać darmozjadów i niedouczonej politykierów. Od lipca zawieszam na trzy miesiące działalność i wyjeżdżam na saksy. Gdy wrócę — zażądaję bilansu. Na razie — muszę zarobić na inwestycje i dalsze podatki. W Polsce jest to nadal niemożliwe. Ja — podatnik — wiem co mówię. To, że będąc we własnym domu mogę wreszcie dogonić Europę, odczułem przez miesiąc wyjątkowo dobrze. Głównie w nogach...

Podatnik
PAWEŁ ŻUBROŃ

Kto zauważył największy przebój tegorocznego sezonu plastycznego, XIII Międzynarodowe Biennale Plakatu w Warszawie? Artyści i „kilku hobbystów”. Nieliczne tytuły pism odnotowały jedynie fakt otwarcia.

„Przeciętnemu śmiertelnikowi” średnio zainteresowanemu sprawami sztuk pięknych, nie dano żadnej szansy. Zabrakło, nieodczuwanych przy tego typu imprezie, informacji, zachęty, reklamy. Wiadomo, że plakat jest sztuką ulicy. Jego „środowiskiem naturalnym” są mury, parkany i słupy ogłoszeniowe. I właśnie na nich nie umieszczono afiszy oznajmujących, że oto barwne papierowe płachty obchodzą swoje święto. Dlaczego?

Być może — budzi się podejrzenie, które łatwo uzasadnić — Biennale przestało być „hitem”, świąteczną olimpiadą, najważniejszym światowym konkursem plakatu? Może po prostu przestało być jakimkolwiek wydarzeniem?

Nie powinno uspić naszych ambicji stwierdzenie **Kazumasa Nagai**, członka jury, mistrza grafiki projektowej, że warszawskie biennale nadal jest jedną z najlepszych tego typu imprez na świecie. Pochlebna ocena, przypuszczam, jest efektem, kurtuazji wobec gospodarzy i przysłówowej japońskiej uprzejmości.

Warszawskie Biennale jest najstarszą, międzynarodową prezentacją światowego plakatu. Powinno zatem mieć rangę i pełnić taką rolę, jaką spełnia w swojej dziedzinie, najdłuższe stażem Biennale Sztuki w Wenecji: przeglądu światowych stylów, kierunków i, co równie ważne, być miejscem nawiązywania międzynarodowych kontaktów.

Tyle — teoria. Praktyka do niej nie przystaje. Jesteśmy krajem biednym, zbyt biednym na to, by móc lansować nowe prądy i kreować światową sztukę.

Dużo odwagi, i za to im chwała, mieli organizatorzy Biennale, zamieszczając w katalogu kilka gorzkich prawd o polskim plakacie, napisanych przez grafika, **Jana Borkiewicza**:

— *Kondycja polskiego plakatu w latach ostatnich, jest taka akurat, jak rzeczywistość, w której plakat ten udaje, że funkcjonuje. Jest to rzeczywistość zdegradowana. Nie jest pewne, czemu plakat jeszcze służy, skoro, na szczęście, nie służy już polityce i natchnieniu, poprawiającej samopoczucie władzy propagandzie. Po prostu widzie swoje szare, biedne uliczne życie i przegrywa konkurencję z malowanymi płaszczyznami wielkich zagranicznych ciężarów. I nawet ze znakami drogowymi.*

Czyżby więc plakaty — do niedawna jedne barwne akcenty naszych szaro-brudnych miast straciły rację bytu? Czy nasze spojrzenia zatrzymywać będą tylko efektowne witryny Marc Pola czy Benettona? Trudno będzie wygrać polskim artystom sztuki projektowej walkę na barwy, jakość druku i papieru. Wystarczy porównać rodzime afisze z tym, co przywieźli goście — plakaty drukowane na papierze wysokiej jakości przy użyciu nowoczesnego sprzętu drukarskiego i komputerowej technologii sporządzania klisz.

To nie jest nowy problem. Jak bumerang powraca przy kolejnych pokazach w „Zachęcie” i coraz smutniej odczuwa się polską siemienność i prowincjonalizm. Nie potrafią obronić się prace eksperymentalne, w nowatorski sposób budujące płaszczyznę plakatu, stworzone przez pokolenie młodych grafików — **Dariusza Komorka**, **Dariusza Bylinkę**, **Sławomira Kosmynek** i **Piotra Młodziejka**. Nawet te znikają wśród plakatów zachodnich — tradycyjnych — bez pomysłu, ale przykuwających spojrzenie soczystymi barwami, luksusową materią, z której zostały wykonane.

Międzynarodowe jury, składające się z plakacistów o światowej renomie (**Ivan Chermayeff** — USA, **Seymour Chwast** —

USA, **Uwe Loesch** — RFN, **Martti Mykkanen** — Finlandia, **Kazumasa Nagai** — Japonia i **Henryk Tomaszewski** — Polska), wybierając laureatów, kierował się przede wszystkim ekspresją, czytelnością i siłą obrazu, nie zaś literacizmem — słowem, będącym najczęściej kluczem do interpretacji plakatu. W konkursowym przeglądzie wzięło udział 1949 prac, zaś do Biennale dopuszczono 738 plakatów 429 artystów, reprezentujących 35 krajów. Najwięcej plakatów przysłali twórcy polscy (126) i kolejno — Japonia (111), ZSRR (70), Francja (57) i USA (50). Jest to mniej więcej stała czołówka, uczestnicząca w polskim biennale.

Jakie tematy dominowały w przeglądzie? Polityka, sztuka, turystyka, reklama, seks, wojna, zatrucie środowiska, ekonomia, głód, terroryzm, dobrobyt. Sprawy ważne mieszają się z błahymi, dowcipne z ponurymi. I chociaż mówią o nich artyści różnych narodowości, o odmiennej kulturze, tradycjach i światopoglądach, język plastyczny jest podobny. Plakaty powstałe w Japonii, kraju tak naprawdę obcym i niezrozumiałym dla Europejczyka, nie są mniej czytelne od prac naszych słowiańskich sąsiadów. **Adolphe Mouron Cassandre**, uznawany za ojca współczesnego plakatu, powiedział kiedyś, że „*plakat to telegram wizualny*”. Tej zasadzie hołdują plakaty japońskie i dzięki niej są bardziej przejrzyste, na wyższym poziomie abstrakcji, celniej trafiają w emocje widza, a zwięzła, skondensowana forma wizualna nadaje im ponadczasowy wymiar.

My natomiast, Rosjanie, Czesi, Węgrzy, rozliczamy się jeszcze z czasów stalinowskich i z trwających do dziś deformacji we wszystkich niemal dziedzinach życia. Kry-



FOT. LESZEK ŁOŻYŃSKI

XIII Międzynarodowe Biennale Plakatu

Krzyczą szeptem

tykujemy miniony okres zastoju, korupcji, dewaluacji idei. Nie jest to wątek wiodący, choć bardzo istotny, bowiem w XIII Biennale przeważają nie plakaty ideowo-społeczne, lecz afisze o tematyce kulturalnej. Z satysfakcją dostrzega się, że polska sztuka była obecna w świecie. Nasze filmy reklamowano w Jugosławii (**Design Studio „Trio”**), plakaty wystawiano w Berlinie (**Hubert Riedel**), „C.K. Dezerterów” prezentowano w Czechosłowacji (**Zdenek Vlach**), a „Emigrantów” Mroźka — w Związku Radzieckim (**Ulo Emmus**).

Pora przedstawić laureatów. Złotym medalistą w grupie plakatów kulturalnych został **Holger Matthies** za afisz do sztuki teatralnej „Sobór miłosny”. I był to najbardziej kontrowersyjny, najostrzej krytykowany werdykt jury. Powód? Prawdopodobnie trywialny; otóż Matthies „ośmielił się” umieścić na głowie mężczyzny dwa okazy fali. Może, gdyby sfotografował tylko jeden, w miejscu przez naturę wyznaczonym, publiczność nie czułaby się zbulwersowana.

Dziwi się jednak, że odkąd w sztuce wszystko jest dozwolone, skoro oglądaliśmy już ekskrementy w szklanych pudeł-

kach i nagie postacie podczas happeningsów, są jeszcze tacy, których oburza dowcipny pomysł Matthiesa! Jednym z niemiłe zaskoczonych jest **Janusz Millszkiewicz**, zastanawiający się na łamach „Przeglądu Tygodniowego”, co jury chciało zmanifestować, uznając pracę Niemca za najlepszą.

W grupie plakatów reklamowych złoty medal otrzymał Japończyk **Kijuro Yahagi** za tryptyk zatytułowany „Czyjś punkt widzenia”. Praca Yahagi jest, niestety, przejadana, przeintelektualizowana i nieczytelna. Reklamuje oficynę wydawniczą, ale również nieskutecznie mogłaby reklamować środki farmakologiczne lub kosmetyki.

Kazumasa Nagai przyznał — może to wina nieprecyzyjnego tłumaczenia z japońskiego na angielski? — że nagrodzoną „złotem” pracę **André Francoisa** w grupie plakatów ideowo-społecznych uhonorowano jedynie ze względów rocznicowych — dotyczy 200-lecia Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Nie ma sensu wystawianie cenzurek srebrnym i brązowym medalistom, których

plakaty nie wyróżniają się niczym szczególnym. Relacja jednak byłaby niepełna, gdyby nie wspomnieć o „Zwierciadle” **Stasysa Eldridgevicusa** — afiszu reklamującym film **Andrieja Tarkowskiego** (brązowy medal) i plakacie **Mieczysława Górskiego** „Kultura żydowska w plakacie polskim” (wyróżnienie honorowe). Oba plakaty, podobnie jak, niestety, niezauważone prace Polaków, występujących w barwach innych krajów (**Roman Cieśliewicz** — Francja, **Jan Sawka** i **Andrzej Dudziński** — USA, **Krzysztof Ducki** — Węgry), mają w sobie to, co japoński gość, **Kazumasa Nagai**, nazwał „wysokim poziomem duchowości”. Bo sukces plakatu — tak było zawsze — nie polega na odtwarzaniu rzeczywistości istniejącej, atakującej każdego i codziennie. To tylko fotografowanie.

Twórczość zaczyna się dalej, w chwili przetwarzania widzialnego i materialnego w odczuwalne i ponadczasowe. Taka twórczość — zwana sztuką — naprawdę nie zna granic. A czy ich przekraczanie powinno być celem biennale?

JAGA REY

111

Międzynarodowe Targi Poznańskie wychodzą z dołka, w jaki wpadły po 13 grudnia 1981 r., kiedy to prawie całkowicie zanikło zainteresowanie współpracą gospodarczą z Polską. W tym roku w Targach uczestniczyła najwyższa od 10 lat liczba firm zagranicznych, bo **ponad 2400 z 38 krajów świata!** Tym samym świat dał dowód swego ponownego otwarcia na Polskę, rezygnując z restrykcji i bojkotu gospodarczego podjętego na znak protestu przeciwko stanowi wojennemu. Natomiast tegoroczne Targi miały pokazać, czy Polska otworzyła się na świat.

Pomimo bardzo uważnej i starannej obserwacji przebiegu Targów nie moge na tak postawione pytanie dać jednoznacznej odpowiedzi. Co prawda, **wicepremier Balcerowicz** w swoim wywiadzie dla „GAZETY TARGOWEJ” zapewniał, że Polska już otworzyła bardzo szeroko swoje okno gospodarcze na współpracę zagraniczną i że „dynamizuje podejście” do swych partnerów. Ale jak było naprawdę? Zamiast odpowiedzi — proponuję, by Czytelnicy sami wyciągnęli wnioski z garści targowych refleksji.

* * *

Z inicjatywy redakcji „**RZECZPOSPOLITEJ**” odbyła się podczas Targów dyskusja krajowych przedsiębiorców, z udziałem ministra M. Świątcickiego i prezesa Krajowej Izby Gospodarczej pod

darki jest poniżej wszelkiej krytyki. Urzędy celne z braku podstawowego wyposażenia i pracowników funkcjonują gorzej niż źle; wysokie stawki celne na importowane technologie i maszyny z góry przekreślają opłacalność inwestycji. Szybciej dolatuje się samolotem na drugi kraniec świata, niż można uzyskać połączenie telefoniczne itd., itd., itd.

* * *

Kierownictwo zbiorowej ekspozycji amerykańskiej wyliczyło, że z **500** biznesmenów rozpoznających polski rynek, tylko **16** decyduje się na podjęcie rozmów gospodarczych. Pozostali od razu wyjeżdżają, nie mogąc wyobrazić sobie prowadzenia przedsiębiorstwa w kraju całkowicie pozbawionym infrastruktury towarzyszącej nie tyle wielkiemu co małemu i średniemu biznesowi.

* * *

Polska zdobyła złote medale MTP m.in. za kuchenkę elektryczną z 4 płytami grzejnymi sterowanymi przetłacznikami mocy oraz za pejsachówkę koszerą. Dla porównania: złoty medal MTP przyznano amerykańskiej drukarce laserowej JET 300, pracującej z szybkością 8 stron dru-

konkursu o Złoty Medal MTP rozdzieli polskim kolegom zupełnie serio: zajmijcie się handlem międzynarodowym, z tego można całkiem dobrze żyć, lepiej niż z kiepskiej produkcji!

* * *

To już nie te targi. Jeszcze przed rokiem klient płacił **100** dolarów, teraz daje **50** lub nawet mniej dolarów — żaliły się przedstawiciele najstarszego zawodu świata, które tłumnie ścigały do Poznania z całej Polski. Podobnie narzekali restauratorzy i właściciele lokali rozrywkowych, patrząc na puste stoliki. „Żytnia” kosztuje **110 tys. zł**, francuski koniak — **800 tys.** W reprezentacyjnym hotelu „Polonez” sprzedano tylko 3 butelki doskonałego francuskiego szampana **po 550 tys.** za flaszkę. Wszystkie zamówił niemiecki przedsiębiorca na spotkanie z ministrem. Polska

rocznych MTP nie było stoiska informacyjnego RWPG. Negocjacje z krajami nie tak dawno jeszcze zwanymi „socialistycznymi” przebiegały bardzo trudno — zapowiedź zmian systemu różniczeń pieniężnych uniemożliwiła zawieranie umów wieloletnich. Nikt bowiem jeszcze nie wie, jak się będzie handlowało za waluty wymienialne. Radca handlowy RSRR w Polsce powiedział: Obecnie Polska płaci za tonę radzieckiej ropy **96 rubli transferowych**. W walucie wymienialnej cena tony ropy wynosi **120—130** dol. Kurs rubla ustalony został na **2100 zł**, kurs dolara — na **9,5 tys. zł**. Radzieckie dostawy brunatnego paliwa do Polski są więc **5,5-krotnie** tańsze, niż wynosiłby złotówkowy koszt ich zakupu za waluty wymienialne. Związek Radziecki tradycyjnie dostarcza do Polski **13,5 mln** ton ropy nafto-

Biznes po polsku

przestała być dla cudzoziemców krajem atrakcyjnym; nic w tym dziwnego, przy takim kursie dolara — narzekal cinkciarz.

* * *

Po raz pierwszy w historii MTP stoisko informacyjne zorganizowała Europejska Wspólnota Gospodarcza. Przedstawiono 200 informacji wskazujących możli-

wej i produktów naftopochodnych.

* * *

12 czerwca w pawilonie francuskim MTP odbył się pierwszy w historii MTP telemost łączący Poznań z Rennes. Poglądy na możliwość rozwoju współpracy wymieniali **min. Świątcicki** i **minister handlu zagranicznego Francji Jean-Marie Rausch**, dyrektorzy MTP i targów w Rennes, prezes poznańskiego Klubu Inteligencji Katolickiej i przedstawiciel samorządu terytorialnego departamentu L'Ille-et Vilaine, mer Rennes i prezydent Poznania oraz prezesi izb przemysłowo-handlowych Poznania i Rennes. Łączność satelitarna umożliwiła godzinną rozmowę z zaglądaniem sobie w oczy.

* * *

Plagą poznańskich Targów były dzieci, grzebiące w śmieciach wyrzucanych z pawilonów i żebrzące po stoiskach. Dzieci często zebrane łupy oddawały wyczekującym w pewnym oddaleniu rodzicom. Nie brakło też „inwalidów” i „chorych” na AIDS, krążących po pawilonach z kartką i wyciągniętą ręką.

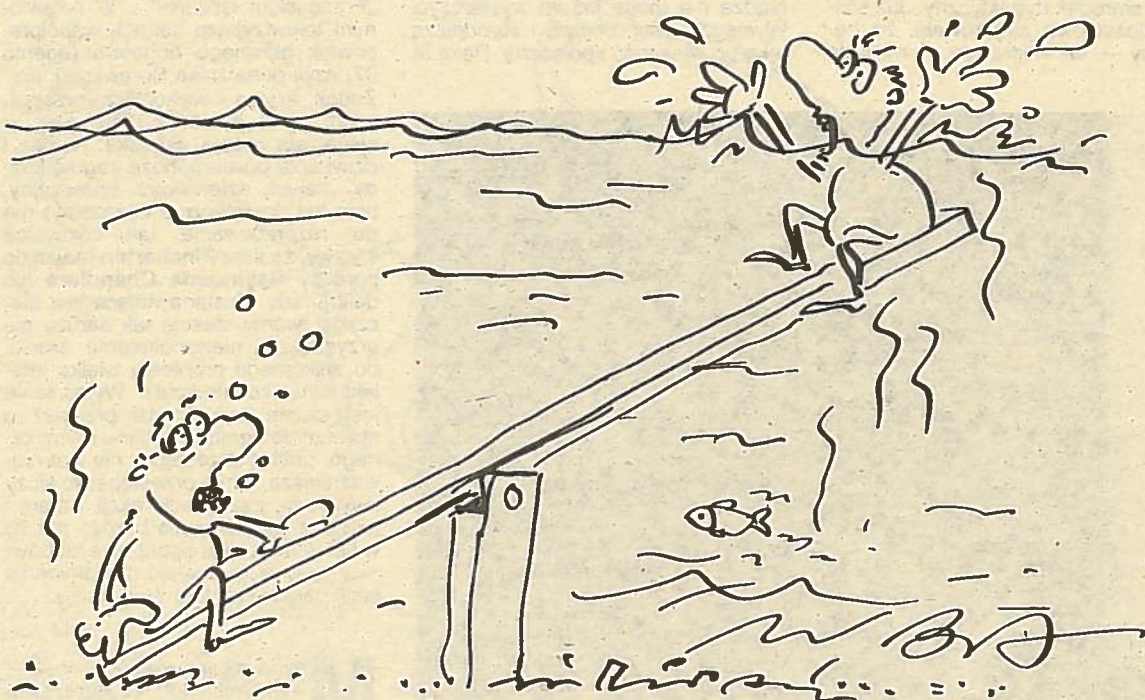
* * *

Minister Świątcicki, zapytany: dlaczego Japończycy wolą inwestować na Węgrzech niż w Polsce, odpowiedział: „Biznesmeni przyjeżdżający do Polski z zamiarem zrobienia interesu mają co najmniej 4 partnerów w jednym przedsiębiorstwie, w tym samorząd. Z kim się mają dogadywać, jeżeli każdy oczekuje od nich czego innego? To nie są negocjacje zachęcające inwestora!”

* * *

Przypominam pytania postawione na początku artykułu: czy Polska jest już otwarta na świat?

BRONISŁAW ANDRZEJEWSKI



wywoławczym hasłem „Biznes po polsku”. Na zachęty ministrów do ofensywy na międzynarodowe rynki odpowiadało pytanie: jak to zrobić, kiedy nadal zmonopolizowane są przez PeKaEs i TRANSBUD — międzynarodowe przewoźy towarów? Krytykowany powszechnie „popiwek” — podatek od wzrostu płac — uniemożliwia wzrost wydajności pracy i paraliżuje inicjatywy produkcyjne. Obsługa bankowa gospo-

ku na minutę i z możliwościami uzyskania tysięcy krajów czcionek i skalowania pisma w granicach od 0,25 do 999,75 pkt oraz japońskiemu elektronicznemu instrumentowi klawiszowemu z bankiem 220 dźwięków i ze 110 automatycznymi podkładami rytmicznymi do wyboru w systemie wieloakompaniamentowym i pamięcią do 1250 nut.

Zachodni Niemcy handlowcy po zapoznaniu się z wynikami

wość współpracy polskich przedsiębiorstw z partnerami ze wspólnoty europejskiej. W seminarium zorganizowanym przez **Alana Mayhewa**, dyrektora komisji ds. przedsiębiorstw EWG, wziął udział **wiceminister Andrzej Wójcik** i burmistrz Berlina **Zachodniego Joerg Schlegel**. Ministrowi Wójcikowi wręczono flagę EWG.

* * *

Po raz pierwszy od lat na tego-

Prasa krajowa o KPN

Naszą prasę cechuje choroba kampanijności; o ile przed wyborami gazety prześcigały się w prezentowaniu platform politycznych poszczególnych partii i ugrupowań, to po wyborach tylko nieliczne tytuły podejmują publiczne omówienia politycznych wyników wyborów do samorządów lokalnych. W omawianym okresie gazety udzieliły tamów do oceny wyników wyborów przez przedstawicieli organizacji KPN w Krośnie i Chełmie. **Paweł Petka**, pełnomocnik KPN w Krośnie pomimo braku sukcesu wyborczego pozytywnie ocenił wyniki wyborów. KPN została dostrzeżona przez lokalną społeczność przedstawiła swój program, jej spektakularne dotychczas akcje-protesty przeciwko totalitaryzmowi, żądanie wycofania z Polski wojsk radzieckich, okupacja budynku PZPR — zyskały podbudowę polityczną. Wyborów wygrać nie było można; ktoś bowiem mógł się równać z „Solidarnością”, dysponującą na cele kampanii wyborczej sumę 670 tys. USD? KPN nawet plakaty, informujące o przedwyborczych spotkaniach musiała drukować ze składek zebranych od członków i sympatyków! (PODKARPACIE z 7 czerwca). Natomiast bezsporny sukces wyborczy odniósł Okręg Chełmiński KPN.

Jak powiedziała **Elżbieta Michałak** dziennikarzowi „Nowość” (7.06) w ośmiu okręgach wyborczych KPN zdobyła średnio po 34% głosów — w Chełmie co 5-ty reprezentuje KPN! Duża w tym zasługa przewodniczącego **Leszka Moczulskiego**, który bezpośrednio zaangażował się w kampanię wyborczą. Dużej pomocy w kampanii wyborczej udzieliła społeczność chełmska, Chełmiński Dom Kultury bezpłatnie udostępnił salę na zebrania, powielanie materiałów wyborczych, a ks. kanonik **Jan Kujaczynski** udostępnił aparaturę nagłaśniającą. Wiele pomocy okazali też drukarze, a ekspedientki pomagały w wywieszaniu plakatów KPN w oknach wystawowych sklepów.

Dziennik Łódzki z 21 czerwca opublikował wywiad z **Andrzejem Ostoją-Owsią**, przewodniczącym Rady Miejskiej w Łodzi, szefem Regionu Łódzkiego. KPN do wyborów w Łodzi startowała w szerokim bloku prawicowych partii politycznych. Program polskiej prawicy okazał się tak atrakcyjny dla łódzkich wyborców, że odniesiono

drugoczące zwycięstwo w robotniczym mieście, które mogło się wydać — i przez lata było tak traktowane — centrum polskiej lewicy. Konsekwencją wyborczego zwycięstwa było powierzenie szefowi łódzkiego KPN funkcji Przewodniczącego Rady Miejskiej m. Łodzi! W udzielonym wywiadzie **Andrzej Ostoja-Owsią** przedstawił najważniejsze, jego zdaniem, problemy Łodzi. Są nimi: ochrona środowiska naturalnego poprzez utylizację odpadów miejskich, poprawę funkcjonowania lecznictwa, rato-

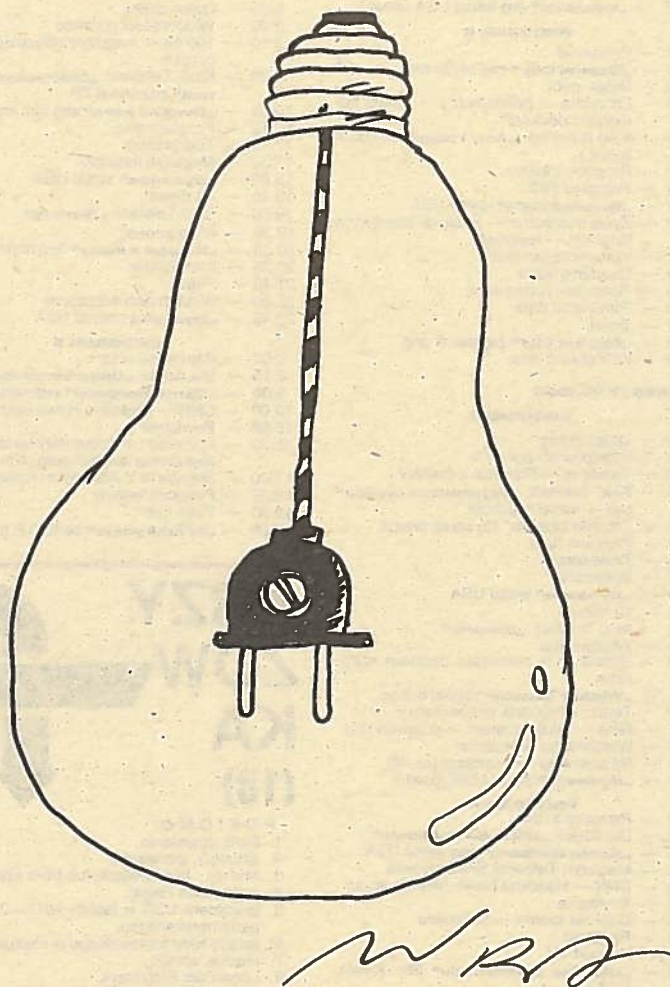
wania przed upadkiem łódzkiego przemysłu lekkiego — 138 fabryk zgłosiło już grupowe zwolnienia z pracy, sprawy bezpieczeństwa publicznego, poprawa funkcjonowania komunikacji miejskiej. Miasto znajduje się w bardzo złej sytuacji finansowej — ponad 102 mld zł niedoboru w kasie miejskiej i tylko 5,5 mld zł w gotówce! Pomimo tych trudności, nowowybrany przewodniczący myśli o usprawnieniu pracy Urzędu — planuje się uruchomienie 11 delegatur urzędu miejskiego, by zaoszczędzić mieszkań-

com odległych dzielnic konieczności udawania się do UM z załatwieniem najdrobniejszych spraw. Nowe delegatury mają funkcjonować przy zmniejszonym o 30% zatrudnieniu w administracji miasta.

Wybory się skończyły, nie ustaje jednak aktywność przewodniczącego KPN **Leszka Moczulskiego**. Gazety informowały o spotkaniach przewodniczącego z mieszkańcami Szczecina w dniu 18 czerwca (**Głos Szczeciński** z 20.06.) oraz z mieszkańcami Radomia w dniu 15.06. (**Słowo Ludu** z 20.06.) **L. Moczulski** krytycznie ocenił sytuację społeczno-polityczną kraju: po 9 miesiącach OKP i jego struktury oraz całe ugrupowania rządowe znalazły się w kryzysie — na skutek błędnej koncepcji poniesiono klęskę, a teraz trwa wzajemne oskarżanie się. **Waleśa** atakuje bo nie chce ponosić odpowiedzialności za porażkę. Dojdzie do tego, że powstaną programy **Waleśy**, **Mazowieckiego** i **Geremka**. Wewnętrzne skłócenie doprowadzi do jeszcze gorszego rządzenia krajem. „To przykre, ale nasze nadzieje budujemy na nieszczęśliwej dla Polski koniunkturze. Konflikty w łonie Solidarności, pomiędzy politykami OKP, a rządową lewicą laicką i katolicką wskazują, że ugrupowaniom sprawującym władzę sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. To wzbogaca nasze aktywa. Nasi ekonomiści proponują program aktywności gospodarczej, przeciwstawny programowi recesyjnemu **Balcerowicza**. Chodzi o szybką wyprzedź drobnego majątku państwowego, przekształcenia dużych zakładów w spółki. Stanowiąc to będzie podstawę do bogacenia się obywateli. Konieczne jest też podniesienie wynagrodzeń kosztem ok. 50-procentowego obniżania wydatków państwowych”.

Nie wszyscy uczestnicy spotkania z **Leszkiem Moczulskim** zgadzali się z zarysowanym programem. Zarzucano demagogizm w rozwiązaniach gospodarczych i zbyt radykalizm polityczny. Dziennikarz **Słowa Ludu** — kończąc swą relację ze spotkania z **Leszkiem Moczulskim** skonstatował jednak: „Ale jedynie przyszłość może zweryfikować te poglądy”. Przyszłość nie może bierze wyczekiwać, trzeba ją kształtować. **Leszek Moczulski** wskazał jedną z dróg.

Opracował B.A.



Prawo dla zniechęconych

W październiku 1989 r. powstała spółka, której przedmiotem była produkcja wyrobów betonarskich, założona przez **B. Lemanowicza** i **J. Konefała**. **B. Lemanowicz** wydzierżawił obiekt od **R. Huk**, która jak się później okazało nie była właścicielką terenu i zabudowań, a jedynie niektórych urządzeń oraz surowców budowlanych. Z tych materiałów, oraz innych dostarczonych dodatkowo przez obie strony, wyprodukowano bieżni cementowe i dachówkę. W listopadzie ojciec **Konefała**, **Władysław** zamknął zakład i już więcej nie wpuścił na jego teren **B. Lemanowicza** nie wydając mu jednocześnie znajdujących się tam przedmiotów do których on rościł pretensje. Wydaje mi się, że dość istotne są okoliczności w jakich to nastąpiło. Otóż na teren betonarni wtargnął **W. Konefał** z siostrzeńcem i oznajmił pracownikowi **B. Lemanowicza**, że ma oddać klucze, gdyż tylko

on zgodnie z prawem jest właścicielem terenu i materiałów.

B. Lemanowicz wraz z **R. Huk** powiadomili funkcjonariuszy milicji w Wilkowie Namysłowskim o tym, że **W. Konefał** dokonał kradzieży kluczy z zakładu betonarskiego i de facto zaboru mienia wartości 40 mln zł. W celu wyjaśnienia zajścia funkcjonariusz milicji udał się do domu **W. Konefała** i po godzinnej rozmowie oznajmił, że jest w tej sprawie bezradny. Po kilku dniach **B. Lemanowicz** i **M. Brodziński** jeszcze raz odwiedzili milicję, aby zgłosić o ponownym incydencie i podać osoby w charakterze świadków tego zajścia. Protokół sporządzony w tej sprawie zdaniem **B. Lemanowicza** nie odpowiadał prawdzie. Złożył więc skargę przeciwko funkcjonariuszom posterunku w Wilkowie Namysłowskim. Skarga nie została uwzględniona.

B. Lemanowicz zwrócił się do Prokuratury Wojewódzkiej w Opolu, aby wszczęto postępowanie przygotowawcze w sprawie przywłaszczenia materiałów budowlanych. Prokurator postanowił nie wszczynać postępowania, uzasadniając swoją decyzję tym, że **W. Konefał** nie działał bezprawnie, bowiem w listopadzie aktem notarialnym nabył ten obiekt wraz z działką od prawowitych spadkobierców dla syna **Jana**. Ponadto **W. Konefał** jako wkład do spółki przekazał **B. Lemanowiczowi** w imieniu syna milion złotych. **W. Konefał** uzależnił wydanie **B. Lemanowiczowi** jego przedmiotów od zwrócenia przekazanych mu pieniędzy.

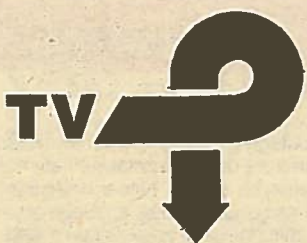
B. Lemanowiczowi pozostała tylko jedna droga dochodzenia własności — wystąpienie do sądu z powództwem cywilnym o wydanie rzeczy.

2 kwietnia 1990 r. Sąd Rejonowy w

Kluczborku wniósł do Wydziału Cywilnego pozew o zasądzenie od pozwanego na rzecz powoda — **B. Lemanowicza** — kwoty 11.000.000 zł wraz z ustawowymi odsetkami od dnia 24 listopada 1989 oraz o zasądzenie od pozwanego na rzecz powoda kosztów procesu. Pozwany bowiem bezprawnie zajął pomieszczenia zakładu powoda oraz zabrał zgromadzone w tych pomieszczeniach i na terenie posesji, na której mieścił się zakład surowce, materiały budowlane i wyroby gotowe. Bezprawnym działaniem pozwanego powód został pozbawiony zakładu i materiałów w które zainwestował wszystkie swoje oszczędności. Nie był nawet w stanie wypłacić wynagrodzenia swoim pracownikom.

Niestety sprawa do chwili obecnej nie została uregulowana. Utknęła w sądzie. Przewlekłość postępowania sądowego? **B. Lemanowicz** został pozbawiony swojej własności i jakoś nic nie wskazuje na to, że w najbliższym czasie ją odzyska. Sądy sądami a własność własnością... Do kiedy?

nazwisko i adres
znane redakcji



SOBOTA 14.VII.1990

PROGRAM I

- 9.00 — „Ziarno” — program Red. Kat. dla dzieci i rodziców
9.20 — Kino Teleferii: „Partnerzy” (3, 4) — serial USA
10.30 — Wiadomości poranne.
10.40 — „Militaria, obronność, nowoczesność”
11.05 — „Z Polski rodem” — magazyn polonijny
11.35 — Telewizyjny Koncert Życzeń
12.05 — „Ślodka” w „Jedynce” — francuski program satelitarzy przedstawia „Informacje” — program rozr.
14.10 — Wędrowni dalekie i bliskie: „Armir, zostań tu” — film dokum.
15.15 — Prezydenci
15.45 — Laboratorium Most
16.15 — „Kupa kamień” — film dokum.
16.45 — Rewizja nadzwyczajna
17.15 — Teleexpress
17.30 — Opole 90 — Rock, cz. 2
18.30 — Butik
19.00 — Dobranoc: „Maurycy i Hawranek”
19.10 — Z kamery wśród zwierząt — Obfity stół
19.30 — Wiadomości
20.05 — „Superman II” — film fabul. USA
21.50 — Telewizyjny przegląd sportowy
22.45 — „Haich life” — progr. rozr.
23.20 — Życie jest fraszką
23.30 — Telegazeta
23.40 — „Odmienność” (1) włoski serial sensac.

PROGRAM II

- 8.00 — Panorama dnia
8.15 — Dla dzieci: „Ulica Sezamkowa”
9.00 — Magazyn Telewizji Śniadaniowej
10.15 — CNN — Headline News (wersja oryg.)
10.35 — „Cudowne lata” (2) — serial USA
11.00 — Studio im. Andrzeja Munka
12.00 — „W świecie czysty” — program dla niesłyszących
12.20 — „Obsession” film fabul.
14.00 — Wielki sport
14.55 — ODEON na antenie 2
15.30 — „Santa Barbara” serial USA (powt.)
17.00 — Wielka gra — teleturniej
18.00 — Program lokalny
18.30 — Benny Hill
18.55 — „Jeszcze mi się śni” — piosenki B. Opalki
19.30 — Progr. artyst.
20.00 — Festiwal Moniuszkowski w Kudowie Zdroju — Wielki Koncert Gwiazd
21.00 — Dwa + 2 — Stefan Kisilewski
21.30 — Panorama dnia
21.45 — „Obsession” — film fabul.
23.30 — Komentarz dnia

NIEDZIELA 15.VII.1990

PROGRAM I

- 9.00 — Kino Teleferii: „Kasmita na dworze króla Artura” film fabul. USA
10.30 — Wiadomości poranne
10.35 — „Otwarta wrota Amazonii” film dokum. Z. Adamskiego
11.25 — Notowania, czyli co się opłaca rolnikowi
11.50 — Telewizyjny koncert życzeń
12.35 — „W drodze do Maochu-Plochu” — film dokum.
13.05 — Sportowa niedziela
14.05 — Magazyn Morze
14.25 — Agromarket
15.00 — Pieprz i wanilia — Z wiatrem przez świat: 200. urodziny
15.55 — „Powrót Arsena Lupin” (6) serial franc.
16.50 — Antena
17.15 — Teleexpress
17.30 — XXIV Festiwal Piosenki Żołnierskiej — Kołobrzeg 90
19.00 — Kino Teleferii: „Wiwat, skrzaty”
19.30 — Wiadomości
20.05 — „Być najlepszą” (1) serial USA
21.20 — 7 dni — świat
21.50 — Sportowa niedziela
22.30 — Wiadomości wieczorne
22.45 — „Donos na samego siebie” film dokum. M.C. Wójcika

PROGRAM II

- 7.45 — Kalendarz — magazyn wojskowy
8.15 — Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)
8.50 — Film dla niesłyszących: „Być najlepszą” (1) serial USA
10.00 — Lokalny koncert życzeń
10.30 — Jutro poniedziałek
10.50 — Powitanie
11.00 — Kontak TV — „Trzy portrety” film dokum. PKF
12.00 — PKF
12.10 — „Pionosce pola” (7) serial austral.
13.00 — Między morzem a domem — piosenki R. Muzaja
13.25 — „Santa Barbara” (7 i 8) serial USA (powt.)
14.55 — Formuła I
15.30 — „Cudowne lata” (2) serial USA (powt.)
15.55 — Formuła I
16.45 — 100 pytań do...

- 17.30 — Bliżej świata
19.00 — Wydarzenie tygodnia
19.30 — Film dokum.
20.00 — Tydzień w sporcie
21.00 — Mistrzowie współczesnego kina — KRZYSZTOF KIESŁOWSKI
21.45 — „Pionosce pola” (7) serial austral.
22.35 — Rozmowy bez sekretów: AUDREY HEPBURN

PONIEDZIAŁEK 16.VII.1990

PROGRAM I

- 17.10 — Program dnia
17.15 — Teleexpress
17.30 — Rzeczpospolita samorządna
18.00 — „Dynastia” (11) serial USA
18.45 — 10 minut
19.00 — Kino Teleferii: „Smurty”
19.30 — Wiadomości
20.05 — Teatr Telewizji: Spektakl na bis: — W. Szekspir „Pokromienie złończy”
21.55 — Kontrpunkty — przegląd wydarzeń krajowych
22.25 — Telewizyjny Informator Wydawniczy
22.40 — Wiadomości wieczorne
22.55 — „Dynastia” (11) serial USA (powt.)

PROGRAM II

- 15.00 — Powitanie
15.30 — „Capital City” (3) serial ang.
16.30 — Progr. publ.
16.45 — Odczyt — polszczyzna — „Sami pojeździ dokoła”
17.00 — Kino rodzinne: „Amy i anioł” film USA (powt.)
18.00 — Program lokalny
18.30 — Przegląd PKF
19.00 — „Bagdad Cafe” serial USA
19.30 — Życie muzyczne — Festiwal operowy w Brighton — reportaż
20.00 — Auto-moto fan klub
20.30 — Osądźmy sami
21.15 — Rozmowy o cierpieniu
21.30 — Panorama dnia
21.45 — Sport
21.55 — „Capital City” (3) serial ang.
22.55 — Komentarz dnia

WTOREK 17.VII.1990

PROGRAM I

- 8.00 — Dzień dobry
9.00 — Wiadomości poranne
9.10 — Teleferie — Wakacje z country
9.40 — Kino Teleferii: „Tajemnicza wyspa” (4) — serial czeski
10.05 — „Wicher czasów” (2) serial brazył.
10.15 — Program dnia
10.30 — Teleexpress
10.45 — Spotkania
11.00 — „Dynastia” serial USA
11.45 — 10 minut
12.00 — Kino Teleferii: „Smurty”
12.30 — Wiadomości
12.40 — Spotkanie z ministrem Jackiem Kuro-niem
13.05 — „Wicher czasów” serial brazył.
13.10 — Teraz — tygodnik gospodarczy
13.40 — Ring — Larry Norman — program rozr.
14.25 — Wiadomości wieczorne
14.40 — Na początku był monopol (cz. III)
15.00 — „Dynastia” serial USA (powt.)

PROGRAM II

- 8.00 — Panorama dnia
8.15 — Dla dzieci: „Ulica Sezamkowa”
9.00 — „Santa Barbara” (9) serial USA
9.45 — Magazyn Telewizji Śniadaniowej
10.00 — CNN — Headline News (wersja oryg.)
10.30 — Powitanie
10.45 — Dookoła świata — W Izraelu
11.00 — Reportaż
11.30 — Kontakt TV
11.45 — „Historia Hollywoodu” film dokum. USA (3)
12.00 — Program lokalny
12.30 — Modlitwa wieczorna z Sanktuarium M.B. Smardzewickiej
13.00 — „Potarowisko” nowela filmowa TP
13.30 — Klejnoty kultury — „Łódź nad Wartą” film dokum.
14.00 — Muzyka i moda
14.45 — Rzecznik praw obywatelskich — prof. Ewa Łętowska
15.30 — Panorama dnia
16.15 — Sport
16.45 — Filmy Erica Rohmera: „Żona lotnika” franc. film fabul. (1980)
17.30 — Komentarz dnia

ŚRODA 18.VII.1990

PROGRAM I

- 9.00 — Wiadomości poranne
9.10 — Teleferie — „Altanka”
9.40 — Kino Teleferii: „Zagubiona melodia” (4) serial czeskosłowacki
10.05 — „Staroświecka komedia” — film fabul. ZSRP
11.35 — Po sześćdziesiątce — magazyn
12.10 — Program dnia
12.15 — Teleexpress
12.30 — Żegnaj Europo — public. międzynarodowa
13.00 — „Dynastia” serial USA
13.45 — Rolnicze rozmaitości
14.00 — Kino Teleferii: „Smurty”
14.30 — Wiadomości
14.45 — „Starsza pani i Afrykanin” — film fabul. franc.
15.35 — Polska z oddali — felieton Jana Nowa-ka-Jeziorańskiego
16.45 — Zawsze po 21-szej
17.25 — Wiadomości wieczorne
17.40 — Rozmowy w Res Publice — Polska w Europie
18.30 — „Dynastia” serial USA (Powt.)

PROGRAM II

- 8.00 — Panorama dnia

- 8.15 — Dla dzieci: „Ulica Sezamkowa”
9.00 — „Santa Barbara” (10) serial USA
10.00 — CNN — Headline News (wersja oryg.)
10.30 — Powitanie
10.45 — Express gospodarczy
11.00 — Kontakt TV
11.30 — „Szpital na peryferiach” serial czeski (3)
12.00 — Program lokalny
12.30 — Magazyn 102
13.00 — „Kiedy odziedziczy Henry” (3) serial komediowy prod. ang.
13.30 — Portret z pamięci — EMIL MŁYNARSKI — 120. rocznica urodzin
14.15 — La Sept: „Glasgow — europejska stolica kulturalna”
14.30 — Ze wszystkich stron — „Wędrowni z Maring i Borysem” (1)
15.30 — Panorama dnia
16.15 — Sport
16.45 — „W labiryncie” serial TP
17.15 — Telewizja nocą
17.30 — Komentarz dnia

CZWARTEK 19.VII.1990

PROGRAM I

- 8.00 — Dzień dobry
9.00 — Wiadomości poranne
9.10 — 100 lat — magazyn ubezpieczeń społecznych
9.20 — Kino Teleferii: „Dziwaczyna i chłopek” (4) serial TP
10.05 — „Dwójka karo” (5) film krym. USA
10.15 — Program dnia
10.30 — Teleexpress
10.45 — Magazyn katolicki
11.00 — „Dynastia” serial USA
11.45 — 10 minut
12.00 — Kino Teleferii: „Smurty”
12.30 — Wiadomości
12.45 — „Kolega z klasy” film krym. USA
13.05 — Interpolacje
13.15 — Pegaz
13.45 — Wiadomości wieczorne
14.00 — „Dynastia” serial USA

PROGRAM II

- 8.00 — Panorama dnia
8.15 — Dla dzieci: „Ulica Sezamkowa”
9.00 — „Santa Barbara” (11) serial USA
10.00 — CNN — Headline News (wersja oryg.)
10.30 — Powitanie
10.45 — Komedie i melodramaty na lato: „Hotel Królowej Anglii” węg. film
11.00 — Spotkanie z Anatolijem Kaszpirowskim
11.30 — Program lokalny
11.45 — Publ. kult.
12.00 — „W labiryncie” serial TP (powt.)

KRZYŻÓWKA (18)

POZIOMO:

1. bunt, powstanie,
2. szczenię, bierwono,
3. Michał... Wiśniowiecki lub herb szlachecki,
4. przywódca libijski,
5. prezydent USA w latach 1817—25, rzecznik panamerykanizmu,
6. książę rodu królewskiego w Hiszpanii,
7. chęć, apetyt;
8. Łotysz lub Estończyk,
9. „królewski” klub piłkarski z Madrytu — niedawno uwolniony przywódca murzyński z RPA, część zbroi husarskiej — ośrodek wypoczynkowy nad Bałtykiem.

- 19.30 — Muzyka poważna
20.00 — Wielki sport
21.00 — Ekspres reporterów
21.30 — Panorama dnia
21.45 — Sport
21.55 — Perły z lamusa: „Moska Dimitriosa” film fabul. USA
23.40 — Spotkanie z ks. prof. Józefem Tischnerem
23.55 — Komentarz dnia

PIĄTEK 20.VII.1990

PROGRAM I

- 9.10 — Teleferie — Tele-lato
9.40 — Kino Teleferii: „Tajemniczy duch” (4) serial NRD
10.10 — „Boso do ląka” (odc. 7-ost.) serial NRD
16.45 — Program dnia
16.50 — Piłkarska kadra czeka
17.15 — Teleexpress
17.30 — Raport — przegląd wydarzeń międzynarodowych
18.00 — „Dynastia” serial USA
18.45 — 10 minut
19.00 — Kino Teleferii: „Smurty”
19.30 — Wiadomości
20.05 — „Zawodowiec” franc. film fabul.
21.45 — Weekend w Jedynce
21.55 — W kinie i na kasie
22.15 — Wiadomości wieczorne
22.30 — „Dynastia” serial USA (powt.)

PROGRAM II

- 8.00 — Panorama dnia
8.15 — Dla dzieci: „Ulica Sezamkowa”
9.00 — „Santa Barbara” (12) serial USA
10.00 — CNN — Headline News (wersja oryg.)
10.30 — Studio Sport — Tenis: Puchar Davisa Polska-Norwegia
15.00 — Powitanie
15.40 — Express gospodarczy
16.00 — Zwierzęta wokół nas
16.30 — Wzrostowa lista przebojów Marka Niedzwieckiego
17.00 — „Alternatywy 4” (odc. 3) serial TP
18.00 — Program lokalny
18.30 — Program regionalny dla Warszawy
19.00 — Letnia scena muzyczna — program rozrywkowy
19.30 — Galeria „2” — Wojciech Zamecznik — grafik wspaniały
20.00 — Studio sport — Tenis (Puchar Davisa: Polska-Norwegia)
21.30 — Panorama dnia
21.45 — Sport
21.55 — „Crime story” film seryjny USA
22.55 — Komentarz dnia

PIONOWO:

- A) imię królów Danii i Szwecji,
 - B) miasto w Szwajcarii, miejsce konferencji 1922—23,
 - C) prezydent i premier Iraku po zamachu stanu 1968,
 - D) prezydent Filipin 1962—65, rzecznik współpracy z USA,
 - F) terminy urzędowania sądu w dawnej Polsce — król Egiptu od ok. 1502 (gr. Tutmozis),
 - H) godło królewskie — amerykański bojownik o prawa Murzynów,
 - J) „nie pozwalam” w dawnym polskim sejmie,
 - L) polityk brytyjski, premier 1945—51, współtwórca NATO, — premier węgierski, stracony po powstaniu 1956.
- Porozwiązaniu odczytać szyfr (przystawie łacińskiej): (3-B, 10-H, 2-F, 4-C, 9-C) (3-L, 11-K, 5-H, 9-A, 11-G, 10-A) (2-A, 3-H, 6-D, 11-D, 7-F).
- Rozwiązanie krzyżówki z numeru 10 „CZAS ZAWSZE PRAWDĘ UJAWNIA”
Nagrody wylosowali: Stefan SROKA, Bolesław, Artur WIETRZYK, Limanowa, Magdalena WOJTOWICZ, Kłucze.
- Rozwiązanie krzyżówki z numeru 11: „POTĘGA OPINII JEST CZYNNIKIEM ŁADU”
Nagrody wylosowali: Michał Pośpuch, Rybnik; Ewa Stanisław, Tymbark; Grażyna Soja, Poznań.

	A	B	C	D	E	F	G	H	I	J	K	L
1												
2												
3												
4												
5												
6												
7												
8												
9												
10												
11												

„Pojęcie praworządności określa zasadę ścisłego przestrzegania norm prawnych zarówno przez obywateli, jak i przez organa państwowe” (Michał Szczaniecki, „Powszechna Historia Państwa i Prawa”, tom II, wydanie PWN z roku 1970.)

Rozumienie tej niezwykle trafnie sprecyzowanej definicji wydaje się nastrożać niemałe trudności, nie obywatelom wszakże, a organom władzy.

Obywatelom nie. Obywatel ma przestrzegać, czego jest świadom, jako że w przypadkach wątpliwych organa państwowe w sposób autorytatywny podreperują mu szwankującą świadomość szybko i skutecznie. Co ma wszakże począć obywatel w przypadku dyktanda organów?

Wydawałoby się, iż czas obowiązywania ustawy jest dla każdego prawnika pojęciem elementarnym. Takimże powinien też być dla najwyższego organu ustawodawczego, jakim jest Sejm.

Nie dla jego Marszałka, jak się okazuje.

Na spotkaniu Michała Kozakiewicza z Polonią wiedeńską padło pytanie, dlaczego hotele polskie pobierają dziesięciokrotnie wyższe opłaty od obywateli przybywających z zagranicy oraz cudzoziemców. Na co Mar-

szalek z rozbrajającą szczerością odpisał, że jest to stara ustawa, której hotele wciąż jeszcze nie wiadomo dlaczego przestrzegają, choć prawdą a Bogiem, mogłyby nie.

Czyżby? Kto zwoinił ich od przestrzegania ustawy, skoro nie została ani wycofana ani zastąpiona przez nową? Czy oczekuje się programowego łamania prawa przez obywateli? W jakim celu?

Praworządność

Innym przykładem rozumienia praworządności przez organa władzy w Polsce jest bolesna sprawa Domu Polskiego w Wiedniu. Dom ten, jeszcze przed drugą wojną światową stanowił własność Polonii, z której to własności w okresie wstydlwym, Polonia została najwyczajniej w świecie ograbiona. Odpowiednie czynniki — dziś nikt nie potrafi powiedzieć, które — przekazały dom na własność Polskiej Akademii Nauk. Wraz z pieniędzmi, oczywiście, jakie przy domu były. Podobnie poczęto sobie z własnością Związku Polaków w Austrii, mimo iż nosił nazwę na czasie, a mianowicie „Strzecha” i, jak sam podkre-

śla, współpracował z narodem... „Strzesze” odebrano lokal własnościowy, dając zastępczy, choć li tylko w użytkowanie. Polonii nawet zastępczego nikt nie proponował.

Lata całe sprawa wisiała w powietrzu, jako że trudno oczekiwać, by jągnię wygrało walkę z niedźwiedziem. Teraz wszakże, gdy oczekiwania wszystkich kierują się ku zasadzie praworządności, inż. Dymitr Sozyko

Nie dodała wszakże publicznie, a czego dowiedziałam się z późniejszych rozmów prywatnych, że Akademia za użytkowanie lokalu oczekuje czynszów w wysokości 30—40 tys. szylingów miesięcznie.

Pomijając fakt, iż jest to cena bardziej niż wygórowana, kto komu ma płacić szynsze? Polonia Akademii? Za użytkowanie własnego, zagrabionego jej bezprawnie domu?

Grabież dokonana przez osoby fizyczne, uważana jest za przestępstwo. Czyżby dla osób prawnych była czynem przez prawo usankcjonowanym?

W zasadzie praworządności nie widzę różnic między obywatelem a organem państwowym, jeśli tenże dopuszcza się popełnienia przestępstwa. Zarówno jeden jak i drugi winien ponieść karę oraz dokonać zadośćuczynienia wyrządzonej krzywdy tak moralnej jak materialnej.

Czy zasada praworządności w dalszym ciągu funkcjonować będzie w Rzeczypospolitej jednostronnie? Co organa państwowe sobie po tym obiecują? A czego oczekiwać może i jakie stanowisko zająć ma naród?

EWA DAN
Wiedeń

Moim zdaniem

W 16 numerze „Opinia” publikuje wywiad z komendantem głównym Policji p. Lamparskim. Jego wypowiedź cechują niewątpliwie: głęboka znajomość problematyki policyjnej, duży polot a nawet — chwilami — zamierzona poezja. Zresztą niech sami Czytelnicy osądzą.

P. Lamparski mówi na przykład, iż celem policji jest, aby walka polityczna nie przekraczała norm prawnych. Ja wprawdzie byłem dotąd przekonany, że zadaniem policji jest zwalczanie przestępczości i utrzymywanie porządku publicznego. Myślałem także, że żadna uczciwa policja nie może mieszać się do polityki, a zwłaszcza do walki politycznej. Widocznie u nas i obecnie obowiązuje inny model działania policyjnego, ale gdzie został on wypracowany? Czy na wiadomej akademii, w stolicy za przyjaźnionego mocarstwa?

Ważka i zasadnicza uwaga p. Lamparskiego nasuwa inne jeszcze pytania, na przykład:

- jakich to norm prawa musi policja strzec, czy na przykład też prawa cywilnego, międzynarodowego itd.?
- dlaczego wbrew pogładowi p. Lamparskiego ustawa z 6.04.1990 o policji w swym art. 1 ogranicza jej kompetencje do ochrony życia, zdrowia i mienia obywateli oraz bezpieczeństwa i porządku publicznego, a więc do kwestii nie mających nic wspólnego z walką polityczną?

To zaciękanie rośnie w miarę dalszych wywodów p. Lamparskiego. Twierdzi on na przykład, że policja nie będzie dopuszczać do „pewnych metod walki politycznej”. Chciałbym wraz z Czytelnikami dowiedzieć się, co to są te „pewne metody”, jaki przepis prawa je określa, dając jednocześnie policji prawo do „niedopuszczania”. Wedle mnie takich „metod” i takiego upoważnienia dla policji nie ma, chyba że za „metodę” uznamy wyrażne przestępstwo, na przykład morderstwo polityczne. Ale do tej metody uciekała się w Polsce dotąd akurat nie opozycja...

P. Lamparski mówi dalej, że dopuszczał na będzie każda manifestacja „była uzgodniona” z Policją (czyli miała jej zezwolenie). Ponieważ przyszłego generała Policji nie można oczywiście posadzać o wypowiedź w złej wierze, przeto dochodzę raczej do wniosku, że chwilowo zapomniał on przepisów prawa policyjnego (jest takie, jest!). Mianowicie przepisy ustawy z 29.03.62 o zgromadzeniach i rozporządzenia z 29.12.83 o imprezach na drogach publicznych wyraźnie stanowią, iż zezwolenie na manifestację itp. udziela ówczesna nie milicja, lecz organa administracyjne. Co gorzej, p. Lamparski zapomniał, iż przepis art. 3 tej ustawy z 1962 r. wyraźnie wyłącza spod obowiązku uzyskania zezwolenia administracji wszelkie manifestacje i imprezy, organizowane przez organizacje polityczne i związki zawodowe (oczywiście wolność ta nie istniała w stanie wojennym, ale zasada

pozostała). A więc co z tym „uzgadnianiem z Policją”?

Dlatego też groźba p. Lamparskiego zastosowania wszelkich dostępnych policyjnych środków (a więc bicia, szczucia psami itd.) względem tych, którzy „wrócą do starej szkoły manifestowania swych poglądów”, to po prostu strachy na lachy i to nie tylko z przyczyn natury prawnej. Każdy przecież Polak wie z własnego doświadczenia (a chyba każdy oficer policji na świecie — ze swej nauki), że pałkami i kulami nie da się rozwiązać nabrańskich problemów społecznych; świadczą u nas o tym daty od 1956 do 1989 r.

Obietnica (czy groźba) towarzysza Lamparskiego, że Policji wystarczy siła do konfrontacji z akcjami masowymi typu blokady dróg określona byłaby przez śp. Wańkowicza jako chciejstwo. Znałe na świecie zasady użycia oddziałów zwartych policji mówią, że już stosunek 1 policjant na 20 manifestantów nie gwarantuje policji sukcesu. Czy p. Lamparski dysponuje tak licznymi i tak chętnymi do interwencji rzeszami polic-

jantów, zwłaszcza, gdyby wystąpienia robotników czy robotników objęły cały kraj?

Wena poetycka tow. Lamparskiego osiągnęła szczyt w twierdzeniu, że w roku 1962 „musiał jak każdy funkcjonariusz MO wstąpić do PZPR”. Wedle moich bowiem wiadomości w MO było wielu bezpartyjnych, a także ludowców. Gdyby na przykład p. Lamparski nie znalazł tej okoliczności, może zapytać się byłego dyrektora departamentu kadr MSW (noszącego zresztą jakimś dziwnym trafem to samo nazwisko...), czy rzeczywiście wszyscy milicjanci byli partyjni.

Nie ośmielałem się jednak kwestionować wypowiedzi p. Lamparskiego, iż „musiał” on wstąpić do partii. Słyszałem o przypadkach, kiedy kierownicy jednostek milicyjnych — zwłaszcza na prowincji — wywierali niedopuszczalne naciski na podległych funkcjonariuszy, aby się upartyjnili. Czy informacja ta jest ścisła, o to może p. Lamparski zapytać komendanta MO w Zakopanem z lat siedemdziesiątych, noszącego znowu dziwnym jakimś trafem nazwisko Lamparski... Swoją drogą, jakże liczna jest rodzina Lamparskich w milicji... a może ci trzech panowie Lamparscy to jedna i ta sama osoba?

P. Lamparski kończy swój wywiad wyznaniem, że zawsze zgadza się politycznie ze swoją rodziną, a jego syn jest asystentem prawa na Uniwersytecie Wrocławskim i wstąpił tam do PZPR. Chciałbym więc w imieniu Czytelników zapytać p. Lamparskiego, czy wszyscy asystenci uniwersyteccy też musieli być członkami PZPR, a jeżeli nie — to dlaczego akceptował on upartyjnienie swego syna, skoro sam — jak mówi — cierpiał na nasiadówkach z powodu swej legitymacji partyjnej?

A teraz o sprawach istotnych. Pan generał nie uważał za właściwe powiedzieć w swym wywiadzie ani słowa o rzeczywistych bolączkach Policji, na przykład o nieproporcjonalnym przeroście biurokracji, o nieracjonalnej organizacji jednostek, o często niskim poziomie zawodowym funkcjonariuszy nawet wysokiego szczebla itd. Dlaczego? Nie wiem, lecz obawiam się, iż p. Lamparski nie zamierza nic zmienić poza mundurami i nazwami.

JAN JASTRZĘBIEC



O rakietach pokojowo

W czasie wojny z bolszewikami (tej pierwszej i zwycięskiej) na ulicach Warszawy rozklejano plakaty także i takiej treści: „Ty grasz w tenisa, gdy inni idą w bój?” Widocznie były potrzebne, by ówczesnych młodych bywalców kortów przekonać o konieczności dokonania wyboru. I dokonywali. Wielu sportsmenów lat dwudziestych poległo, wielu straciło zdrowie. Inne to były czasy, ale i inni ludzie.

Wątpię czy dziś dało by się w jakikolwiek sposób odciągnąć eleganckich i bogatych osobników od magnesów rakiet i elastycznych piłeczek. Teraz w Polsce w tenisa gra osiemdziesiąt procent majątnych snobów, dziesięć procent zawodowców mających owe majątności w perspektywie i dziesięć procent „tych normalnych”. Ale, na szczęście, bywają wyjątki.

W jedną z ostatnich, majowych sobót pan Adam Królaś na kortach warszawskiej AWF zorganizował tenisowe przyjęcie dla tych, dla których tenis to nie tylko dolary, luksusowe samochody i szmal. Na obiektach uczelni funkcjo-

nującej jeszcze pod patronatem Świerczewskiego (co jest dowodem na to, że beton potrafi zalać szafirowe oczka sportowych prominentów i pseudo naukowców na stałe) pokazano nam widowsko budujące i napieniające optymizmem.

Pan Królaś w otoczeniu roju swych asystentów pokazał obecnym jak najmłodsi nasi rodacy uczą się tej pięknej gry, jak umieją się cieszyć sportem, zdrowiem i ruchem. Kilkadziesiąt małych dziewczyn i chłopców w wieku komunistycznym pokazało prawidłową rozgrzewkę obowiązującą dorosłych zawodników, potem brzdące nad wyraz sprawnie operując rakietami przebiegały piłeczki ponad siatką. Były pokazy refleksu, sprawności, a na zakończenie niespodzianka. Nagle na głowy wszystkich obecnych spadł deszcz zielonych, tenisowych piłeczek wyrzucanych w górę niespodziewanie i uroczym. Zadowoleni byli wszyscy. Dzieci, z których z pewnością kiedyś wyrosną prawdziwi, rasowi gracze, rodzice i postronni widzowie. Pokaz zakończyła prowizory-

czne garden party. Ciastka, herbata i mnóstwo radości. Impreza kameralna i sympatyczna. I jak tu nie wierzyć, że małe jest piękne?

Na sąsiednim korcie grali, także w tenisa, nasi sportowi promieniści. Walczyli z własnymi brzuchami i dotleniali szare komórki. Diabli wiedzą po co, ale dotleniali. Według mojej opinii mało skutecznie, bo nawet nie pofatygowali się aby choć przez moment popatrzeć na popisy rozbawionej dzieciarni. I nie ma się co dziwić. Od lat przyzwyczajali się do oglądania mistrzostw świata, olimpiad itd. Nie w głowie im przyszłość, choćby ta nawet bardzo odległa. Przyszłość oczywiście polskiego sportu, bo o swoją całą z pewnością zadbał już dawno.

Z pokazu zorganizowanego przez pana Adama wracałem pełen optymizmu i dobrych myśli. Są jeszcze ludzie w Polsce, którym chce się pracować bez oglądania się na zagranicznych sponsorów i zagraniczny kapitał. Są rodzice i dzieci wolący ruch na powietrzu i sport w najczystszy wydaniu od telewizyjnego smogu. Trwa akcja przywracania AWF-owi patrona, na którego rozkaz uczelnia powstała. Kogo — wszyscy wiemy. Niedługo, miejmy nadzieję, zniknie z terenu uczelni głowa Waltera przypominająca jajo strasznego dinozaura, a jego obrońcy trafią do muzeum socrealizmu jako żywe eksponaty.

Mam wśród małych podopiecznych Adama Królaśa swoich faworytów. Dziewięcioletnia Dorotka, o ile w dalszym ciągu będzie się tak przykładać do treningów i z cudowną, dziecięcą powagą operować tenisową rakieta, na pewno będzie polską Sabatini. To jest właśnie nasz polski sportowy kapitał, o który powinniśmy dbać i przetrzymać w pilnie strzeżonych sejfach.

Oby takich sobotnich imprez, bez fanfar, sztandarów i transparentów było jak najwięcej. Skoro nasze dorosłe życie jest ponure i smutne, stawiajmy na dzieci i młodzież. Tylko to bowiem pozwoli polskiemu sportowi przetrwać. Przez kilkunastu cymbałów nasza kultura fizyczna straciła dziesiątki tysięcy młodych ludzi. Cóż więc należy robić? Przede wszystkim nie dopuszczać do sportowej władzy kolejnych nieudaczników i zaczynać wszystko, niestety, ab ovo.

JAN TRAWIŃSKI



Puszka Pandory

● Aby dobrze rozpocząć redagowanie tej rubryki — należy napisać cokolwiek pozytywnego o bliźnich. Na początek — o odznaczeniach. Obecny rząd nie wypadł w tej mierze sroce spod ogona, ale był doceniony zanim stał się rządem. Jacek Kuroń — Srebrny Krzyż Zasługi w 1950 r., Tadeusz Mazowiecki — Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski w 1969, Leszek Balcerowicz — Brązowy Krzyż Zasługi w 1981. O Kiszczaku, Siwickim nie wspominać, gdyż wystarczy tylko popatrzeć na ich fotografie.

● Przewodniczący KPN spotkał się na dyskusji w studenckim klubie „Remont” z pierwszym sekretarzem ambasady ZSRR, Aleksandrem Oskinem. Moczułski miał podobno powiedzieć, że najlepiej z Rosjanami potrafił rozmawiać piłsudczyk. Boimy się, że mocodawcy radzieckiego przedstawiciela są podobnego zdania.

● Wobec rozmnożenia się Komitetów — proponujemy rozróżnienie: Komitet Obywatelski — Komitet Centralny, Konferencja przedstawicieli Komitetów Obywatelskich — Plenum Komitetu Centralnego, struktury podległe — komitety wojewódzkie i gminne. Byłemu sekretarzowi Komitetu Centralnego, H. Wujcowi, radzimy dodać przymiotnik — pierwszy.

● Biuletyn Ministerstwa Spraw Zagranicznych klasyfikując partie polityczne działające obecnie w Polsce dzieli je na kilka nurtów: lewicowy, ludowy, niepodległościowy, demokratyczny, chrześcijańsko-demokratyczny, ekologiczny, liberalno-konserwatywny, narodowo-demokratyczny, gospodarczy i wielonurtowy. W tym ostatnim, obok siebie znalazły się: Stowarzyszenie PAX, Unia Chrześcijańsko-Społeczna, Polski Związek Katolicko-Społeczny, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe i Ruch Polityki Polskiej.

● LECH WAŁĘSA stał się przedmiotem skandalu także poza granicami Polski. Swoją książkę „Drogi Nadziei” sprzedał jednocześnie dwóm wydawnictwom: Hołtowi w Nowym Jorku i Fayardowi — w Paryżu. Sprawa ma trafić do sądu.

ERYNIE

Podniosłem słuchawkę, wykręciłem znany tylko sobie, zastrzeżony numer...

— Słucham?

— Z panem Belzebubem, proszę...

— Chwileczkę. — Trochę to trwało, wreszcie usłyszałem:

— Belzebub, kto mówi?

— Nomenclator. Witam pana, chciałbym porozmawiać z kimś z Polski...

— A konkretnie z kim?

— Trudno mi powiedzieć, nie wiem kogo tam już macie.

— Panie! Prawie wszystkich! Kogo więc wzwąć do telefonu?

— Kogoś, kogo ma pan pod ręką...

Dictum Acerbum

Telefon do Piekła

Usłyszałem stuk odkładanej słuchawki i odgłos oddalających się kopyt Belzebuba. Pewnie wyszedł z kancelarii by na sali ogólnej wywołać jednego z rodaków do telefonu... Długo nikt nie podejmował słuchawki... Wreszcie...

— Mówi Belzebub, panie, z nimi można zawiązać...

— Dlaczego, co się stało? Czyżby nikt nie chciał rozmawiać z Ziemią?

— Odwrotnie, wszyscy chcą!

— No to w czym problem?

— Ano w tym, że co który się zaczyna zbierać do telefonu w piekielnej kancelarii, to zaraz inni pytają go o upoważnienia, kogo reprezentuje, co chce powiedzieć, kto dzwoni, z kim uzgadnia ewentualną wypowiedź, a dlaczego właśnie on... Panie, można zawiązać! Bronek już, już, chciał wziąć słuchawkę, a tu Lechu z bliźniakami w krzyk, że oni nie pozwolą, bo Bronek już niejedną numer im wykręcił (choć ten numer, do piekła, wykręcił przecież pan!), więc niech siada i będzie cicho. Adama z Heńkiem, gdy chcieli pogadać z panem, wyśmiali: jaką ma do pomocy przy telefonie faceta, który całą mądrość czerpie ze swej słynnej torby. Zanim jeden wyjąka to, co drugi mu wygrzebie z worka, wieki miną. A zresztą, Henio swej torby tu nie ma. Jacek podszedł do Tadeusza, chwilę z nim poszeptał, ale gdy Tadeusz pokręcił przecząco głową, machnął ręką, usiadł i zapalił papierosa. Małgośka została zastrzymana w pół drogi uwagą znanego reżysera, że nie ma po co iść i wypowiadać się, ponieważ nie ma tam kamer telewizyjnych i będzie ją tylko słycać, a nie widać, co jest wyściem najgorszym z możliwych. Cześkowi i Wojtkowi powiedział Lechu, żeby się nie wierzili nerwowo, że mogli by sobie pogadać, gdyby był to telefon od Michaila, ale Archanioł do Piekła przecież nie zadzwoni...! Panie, to nie Piekło, to dom wariatów...

— Trudno. No cóż, dziękuję panu. Zadzwonię innym razem...

— Panie nomenclator, nie ma potrzeby, pogadasz pan sobie z nimi na miejscu. Wszyscy przecież tu do mnie przyjdziecie!

Cóż, pomyślałem sobie odkładając słuchawkę — ma diabeł rację.

NOMENCLATOR

Opinia

TYGODNIK KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ „OPINIA”, Redaguje zespół. Redaktor naczelny — Krzysztof Król. Centrala 26-54-01 (w. 266 — zca. red. nac., 265 — sekretarze redakcji). Adres: 00-920 Warszawa, ul. Nowy Świat 18/20. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.